

ZŁOTY RÓC
ILUSTROWANY
TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY
I SPOŁECZNY



REDAKCJA i
ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 152-05.

N^o

WARSZAWA
DNIA 2 LISTOPADA 1913 R.

44

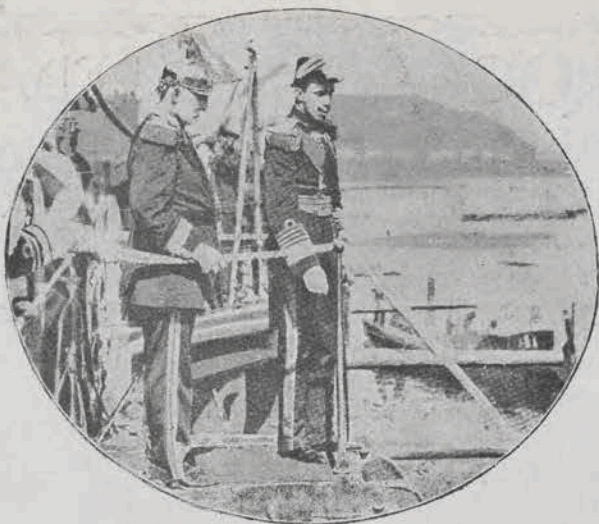
KIINO



Epizod z katastrofy okrętu „Volturno”. Spuszczanie łodzi ratunkowej.



Wykolejenie się pociągu pod Ballmaną.



Król Alfons XIII na regatach w Diéppe.



Turniej tangowy w Baden-Baden.



W pewnej prowincji angielskiej odbyła się hulaśliwa demonstracja przeciw nieuważnym szoferom. Ilustracja nasza wyobraża moment, gdy wzburzony tłum kroczy przez głównę szosę.



Znakomity dedektyw Płnkerton słynny bohater sensacyjnych romansów — przyjechał do Berlina.



Oliara demonstracji sufrażystek.

FRANCISZEK WEDEKIND.



Franciszek Wedekind.

W rzędzie wybitnych postaci Parnasu niemieckiego jedno z najbardziej poczytnych miejsc zajmuje Franciszek Wedekind, współczesny dramaturg germański. Interesujące są niemal wszystkie dzieła jakie stworzył, najbardziej jednak ciekawym i charakterystycznym jest punkt widzenia z jakiego patrzy na ten świat. Sam, jak mówi dr. Kempner w dziełku traktującym o twórczości tego poety, usunął się

w zaświaty i spogląda z pobłażaniem, ale i z gryzącą ironją na tę ziemię i uwijającą się po niej człowieczą gromadę, czyniącą na nim wrażenie marjonetek. W jego bowiem wyobraźni ludzkość, jej starania i zabiegi są niezmiernie maluczkie i bezowocne. W każdym też niemal z jego dramatów czyta się pomiędzy wierszami: „Dążenia wasze nie mają podstaw i bezowocne są w porównaniu z wiecznością, o, niedorzeczne istoty! Tacy jesteście pocieszni z waszemi prawami, ideałami i ustrojem społeczeństw, że i szkoda słów na to tracić, a jeżeli koniecznie chcecie już coś działać, to przynajmniej starajcie się to wszystko udoskonalić. Zdarza się też, że gdy wstrząsające swoje tragedje, wyczerpujące zagadnienie bytu człowieczego i troski jego doczesne doprowadza do kulminacyjnego punktu, nagle jakgdyby podlegając powodującej nim namiętności, żałuje, że wogóle zajmował się takimi błahostkami i jednym zdaniem druzgocze cały gmach swoich myśli, a uszu czytelnika dobiega jego śmiech szatański. „Takie to zabawne, tak nieskończenie zabawne są wasze zabiegi i starania, ha, ha, ha!“

Franciszek Wedekind przenikliwie swoim spojrzeniem dociera do głębi duszy człowieczej i z łatwością doszukuje się owej bestji, która drzemie w każdym z nas. Przywołane przez się do życia postacie rad wyzuwa z krępujących powłok taniach obyczajów i form towarzyskich i pokazuje nam, co wszystko kryje się pod osłoną „kultury“. „Popęd płciowy i walka o byt, oto co powoduje tą tłuszcza, której w gruncie rzeczy obcą jest litość, wstyd i wszelkie lepsze instynkty. Ludzie, toć to hyjeny są i szakale, woła, gdy w prologu do „Ducha Ziemi“ w roli pogromcy zwierząt zwraca się do publiczności oświadczając, iż rozbił namiot i prosi chętnych o odwiedzinę.

„Bowiem drapieżne ohydne zwierzęta
Gromadzi w sobie ta buda rozpięta!“

Czas, jak powiada Lubliński w jednym z dzieł swoich krytycznych, narzuca modernizmowi niemieckiemu problemat stosunku jednostki do świata i o tę zagadkę rozbijają się przedstawiciele tej epoki, jak nieporównany Schlaf, wspaniały Hille, głęboki Nietzsche, a zwłaszcza Wedekind. W tym razie nie chodzi już o kwestję społeczną, która znalazła swój artystyczny wyraz, lecz o potężny problemat filozoficzny, o tajemnicę bytu, o zagadnienie, które zrodzi cały kierunek neoromantyczny.

Jednoaktówka p. t. „Kamień filozoficzny“, daje nam najbardziej dokładny obraz przeżyć duchowych poety, w które wtajemnicza nas z rezygnacją.

Zagłębiający w filozofji, zbudował sobie własny pogląd na świat i zdało mu się, że znalazł kamień filozoficzny. Ale pulsująca moc życia odniosła przewagę nad jego mędrkowaniem. Burzliwa fala istnienia przepływa obok niego i odrzuca go na bok. Zostaje sam na drodze. Gwendolin upostaciowanie głupoty, unosi nad nim zwycięsko i naigrywa się z niego.

Wedekind dotąd niemal, że zapoznanym jest przez ogół, ale sztuka niemiecka i większość krytyków wynosi go na prawdziwe wyżyny. Porównywują go do dziecięcia Goethoskiego, Fausta i Heleny, czyli licują w jego istnieniu upostaciowanie klasycyzmu i romantyzmu i każą mu być wzorem literackim.

Sukcesy jego zaczynają się od utworu p. t. „Przebudzenie się wiosny“, który acz niepośledni pod względem artystycznym, najbardziej jest jako rzecz myślowa, skończony — ze wszystkich jego dramatów. Inne dzieła jego są: „Duch Ziemi“, „Puszka Pandory“, „Markiz Keith“, „Muzyka“, „Takie jest życie“, „Hidalla“, „Poezje“ oraz tom nowel p. t. „Fajerwerki“.

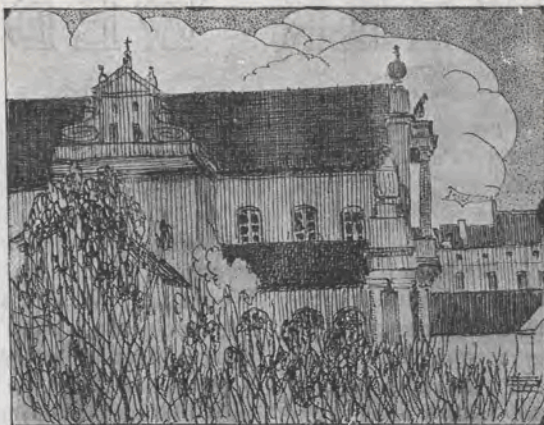
Urodzony dnia 24 lipca 1894 roku w Hanowerze, ożeniony z panną Tilly Nieman Newes, artystką dramatyczną, od roku 1905 także stale występuje w Berlinie w teatrze Reinhardta, odtwarżając wraz z małżonką główne role w swoich dramatach.

Publiczność zaś z zaciekawieniem przyglądając się przedstawionym sobie postaciom, przeciera dłonią czoło i pyta:

— Azali to prawda. Czyż istotnie jesteśmy takimi potworami i hipokrytami? Czyż rzeczywiście miłość bliźniego i inne zasady etyczne taką przybrały u nas postać? — i odpowiada im gryząca ironja Wedekinda, przyznającego się otwarcie, że ma odwagę nazwać rzeczy po imieniu.

Głębokim myślicielem, doskonałym znawcą przywar i ułomności ludzkich jest Wedekind, długo też pozostawia on widza lub czytelnika pod wrażeniem nieporównanej swojej twórczości, owianej czarem prawdziwego natchnienia.

A. Z.



Kościół Karmelitów.

Rys. Henryk Czerny.

Z cyklu „Obrazki Warszawskie“.

KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE.

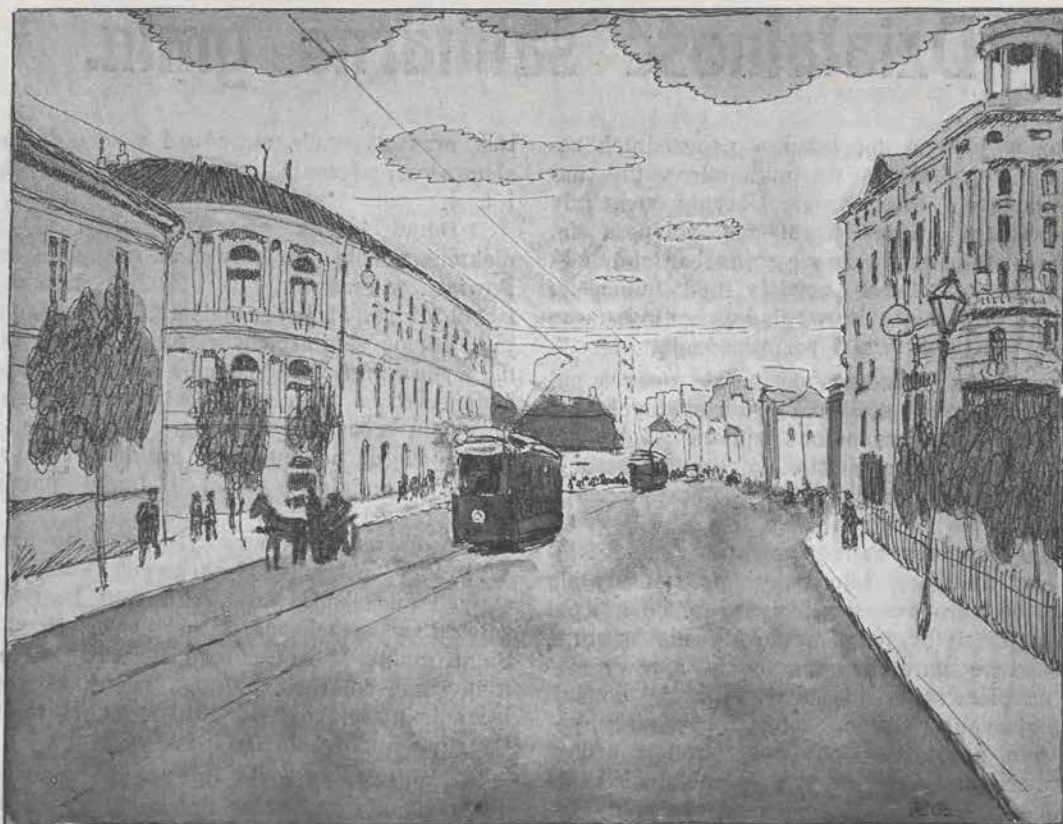
Ta, ulica, jakby rzucona w przestrzeń ręką potężną, otwiera drogę w głąb tej nowej Warszawy, której huk i wrzenie przycicha zaledwie na kilka godzin nocy. Aby się godnie przygotować do wejścia na tę drogę ruchliwą, zaczynam wędrowkę od mostu. Wtaczają nań i wytaczają z niego ciężkie wozy ładowne, tramwaje, dorożki. Most drga lekko. Od Wisły idzie chłodny powiew. Ruszam w drogę. Na lewo zamek — królów polskich, wieża z starym pięknym zegarem, wieże kościołów Świętojańskich, widok na staroświecką ulicę Piwną, wysmukła i piękna kolumna Zyguntowska. Krakowskie Przedmieście rozkłada się przed widzem szeroko, lecz że nie proste, jak dzisiejsze ulice geometryczne, więc się rozwija przed okiem stopniowo.

Okrzyk podziwu! Tyle powietrza w tej szerokiej arterji, tyle nieba nad nią, tyle okazałości i wdzięku! Tą drogą szła *Stara Warszawa* ku nowemu życiu. Tędy idąc marzyła, że stworzy nowe życie — okazałe, potężne, piękne! I dotąd woła marzenie w tej ulicy i szlachetność, która chce tworzyć nie dla siebie tylko, lecz i dla innych! Pałace magnackie świadczą, że umiała jeszcze ta stara, idąca ku nowemu życiu, Warszawa, budować! Ujrzeć tu można gmach nieden, na którego widok uśmierza się wzburzenie i wstępuje otucha. Cztery kościoły, a każdy piękny, inaczej zdobi Krakowskie Przedmieście. Jak te kościoły umieją żyć w nocie księżycowe, w zmierzchu, w dni słotne! Zasunięty w głąb ulicy, kościół Wizytek, kiedy wieczór zstąpi, zapada jakby w mgławicę marzenia. Staje się lekki, niemal niematerjalny, bardzo cichy, a jego okno szafirowe patrzy jak oko w głębokiej zadumie. Grupa drzew otula go troskliwie i chroni przed gwałtem ulicy. Kościół św. Anny nawet w rześście gwiazdzistą noc, uwieńczoną sierpem księżycy, jest tak mocny, harmonijny, oka-

zały, podczas gdy kościół Karmelitów w noc taką czaruje kształtem kunsztownym! Święty Krzyż, z którego Chrystus obciążony krzyżem, wychodzi na ulicę! Te świątynie żyją i choć, nieraz jakby spowite w całuny głębokiej melancholji, oddychają jednak! Żyją i pałace okazałe i stare domy o wązkich frontonach. Jest pewien dom niewielki, z początku zeszłego wieku, którego widok każe wspominać o czasach klawikordu i tęsknych piosenek! Żal chwytą, kiedy który z tych domów żywych pada pod oskarżeniem burzyciela, albo kiedy między dwa domy żywe wtaczają rzeci, najmłodszy, lśniawy jak krem, lecz martwourodzony, lecz trup! Ile takich domów, tyle cieniów trupich na żywym bruku ulicy! Na miejscu, gdzie niegdyś piętrzyła się łańcuch domów nieistniejącej już dziś ulicy Dziekanki, wznosi się pomnik wielkiego poety. Jeżeli o chwałę chodzi — możemy być spokojni! Imię Jego pozostanie w dziejach ludzkości święte! Nie obłąd krwiożerczy wznosił ten pomnik i wyzdrowienie z obłąd go nie obali. Zdaleka jaśnieje kolumna Zyguntowska.

Trudno o piękniejsze uwieńczenie ulicy! Jaka lekkość, strzelistość! Jaki powab zaklęty w ciosach granitowych! I jeszcze jeden pomnik nie ohydy, lecz chwały — chwały ze zwycięstwa pod Wiedniem. To pomniczek Matki Boskiej Passawskiej. Na taki to tylko pomniczek zdobyła się Polska, aby uwieńczyć pamięć wielkiego zwycięstwa i lekkomyślnego marnotrawienia sił w obronie Wiednia, który w sto lat potem nikczemnie zabruje część Rzeczypospolitej. A dziś chępliwość hakatystyczna piętrzy aż pod obłoki teutońską szkaradę pod Lipskiem, owrzaskując na cały świat swą ociężałość i grubiański brak smaku.

Tak więc — Krakowskie Przedmieście — to wspaniały wjazd do Warszawy, wjazd to wspa-



Krakowskie Przedmieście.

Rys. Henryk Czerny.

nialszy zaprawdę, niż samo wnętrze. Tramwaje elektryczne, dorożki, powozy, karety, trąbki samochodowe huczą tu i lśnią. Świetny cylinder i płaszcz okazały obok palt wyszarzanych, powiewne sturublowe kapelusze strojnych piękności i skromne sukienki szwaczek, spieszących na Pragę — wszystko tu się miesza w wir zbytku i nędzy, okazałości szarego ubóstwa. Olbrzymie okna wystaw, poza którymi śmieją się kwiaty, soczyste owoce, opływające cukrem smakołyki,

rozplątane czerwone ryby, narzędzia muzyczne, na których grać sobie będzie czyjaś ręka szczęśliwa, hotele świetne, jak konstelacje gwiazdziste... a obok, po mniej ruchliwej stronie ulicy — tu i owdzie sklepiki duszne z żółtym, mdłym ogarkiem światła, przesycone kwaśnym odorem kapusty, twarze blade i ziemiste, suteryny, biedne dzieci anemiczne — tak tu się przeplata przepych okazały i chuda fara!

Leon Choromański.



Rys. Henryk Czerny.

Działalność sanitarna gmin.

Już w jednym z artykułów poprzednich zaznaczyliśmy opłakane warunki zdrowotne naszych miast i miasteczek. Obecnie zaś, gdy stan sanitarny całego kraju nie polepsza się, lecz przeciwnie, pogarsza się coraz bardziej, gdy widma nowych chorób zawisły nad ludnością, warto się przyjrzeć jak wygładają gminy nasze i jakimi środkami walki rozporządzają.

Sprawą tą szczerze się zajął znawca naszych opłakanych stosunków zdrowotnych, dr. Antoni Wejssel, ordynator szpitala Wolskiego w Warszawie. Jako motto do swej broszury, dał on słowa Sonderegera: „Jedną cechą główną, świadczącą o cywilizacji narodów jest to, że sprawy higieny zajmują szeroki ogół“. Niestety, my na mocy tej cechy nie możemy się zaliczyć do narodów cywilizowanych, bo szeroki ogół sprawami higieny wcale się nie zajmuje. Jest zaledwie garstka tych, co te sprawy stawiają na pierwszym planie i zaliczają do najżywniejszych. Obowiązkiem tej garstki powinno być apostołstwo higieny wśród mas obywateli. Niemalą rolę w tem apostołstwie może odegrać prasa i dlatego uważamy, że nigdy nie może być za dużo traktowania tych spraw na szpaltach prasy.

Sprawy higieniczne na podłożu społecznym nie są dla nas obce, bo już przed rokiem 1817 mieliśmy liczne szpitale parafjalne, których zarząd poruczano proboszczom i wójtom gmin. Po roku 1817 postanowieniem namiestnika królewskiego szpitale parafjalne, zmienione w nazwie na domy schronienia dla starców i sierot, pozostawały jeszcze pod zarządem dozorów kościelnych aż do r. 1864, w którym na mocy ukazu przestały istnieć zupełnie. Na miejsce zwiniętych inne nie powstały, a wiele z dawnych urządzeń i przepisów obowiązujących sanitarnych przestało istnieć lub straciło wiele ze swej powagi i mocy.

Słusznie jednak dr. Wejssel mówi, że gminy, płacące coraz większe podatki, mają prawo żądać od zarządów gmin większego zainteresowania się ich zdrowiem i życiem, jako rzeczami pierwszorzędnej wagi. Poniekąd jednak autor przypisuje winę także samym gminnikom. W gminie bowiem samorządnej zebranie gminne, na zasadzie praw mu przysługujących o urządzeniach gminnych z r. 1864, między innymi może postanawiać uchwały we wszelkich sprawach oświatowych i gospodarczych gminy. Do niego należy ustanawianie składek gminnych i ich rozkład, utrzymanie w porządku dróg, mostów, wybór pełnomocników, prowadzących interesy gminy, a więc i potrzeb sanitarnych wraz z instytucjami dobra publicznego.

„Od uświadomienia obywateli, składających zebranie gminne, dobrej woli, rozsądku i zrozumienia ważności kwestji sanitarnych zależeć będzie dobry lub zły stan sanitarny gminy, brak lub istnienie instytucji dobroczynnych jak: szpi-

tali, przytułków dla starców i sierot, domów noclegowych, lecznic przychodnich dla chorych i t. d.“

Dotąd jednak nietylko gminy, ale nawet niektóre miasta powiatowe nie posiadają szpitali. Powiat warszawski na 280,000 mieszkańców i 119,561 rb. 51 kop. budżetu, nie posiada szpitali. Pomoc sanitarna w gminach polega głównie na wydawaniu mieszkańcom stałym i niestałym świadectw, a w razie ubóstwa zupełnego — na przyjęciu kosztów leczenia. Koszty te nieraz bardzo ciężą na budżecie gminnym i przytem nie dają gminie szybkiej i taniej pomocy na miejscu.

A oto są wymowne cyfry, podane przez dr. W.: Pow. warszawski za swych stałych i niestałych mieszkańców do roku 1910 1-go stycznia zalegał w opłacie szpitalnej 94,968 rb. 32 kop. Sama gmina Młociny, mająca w budżecie rocznym sumę 5,541 rb. 60 kop., winna za szpitalne leczenie gminników do 1910 r. 33,871 rb. Gmina Czyste winna około 5,000 rb.

„Mieszkańcy gmin w pogoni za zdrowiem udają się nieraz bardzo daleko od swych stałych siedzib, już nie na specjalne leczenie, ale nieraz w chorobach zwykłych, powszednich. Wędrując, trafiają nawet do szpitali warszawskich. Szczęście dla nich, jeżeli choroba ostra, w porę leczona, skończy się pomyślnie; wtedy uzdrowiony mieszkaniec gminy wypisuje się dobrowolnie ze szpitala, albo pozostaje w mieście, albo wraca do swoich. Jeżeli zaś choroba przybierze przebieg chroniczny, lub stan niewyleczalny, wtedy gdy ma rodzinę na wsi, to zalega zwykle u niej komorę przy chacie, zatrzuwa im powietrze a jeżeli blizkich niema, to gmina obowiązana mu zastąpić rodzinę i zapewnić opiekę. Pow. warszawski niema dla swych mieszkańców stałych nawet szpitalika choćby na 10 łóżek albo większego przytułku dla nieuleczalnych starców, odesłanych na opiekę ze szpitali. Gmina Czyste pomieszcza swych w domach chorych familijnych, płacąc po 225 rb. rocznie od jednej osoby, co taniej wynosi od przebywania w szpitalu, a drożej niż wynosiłoby wtedy, gdyby zarząd gminy utworzył wśród swoich Dom schronienia choćby na 20 osób.

Obowiązującą dotychczas działalnością sanitarną gmin, o której się często zapomina, lub się nie wykonywa jej ściśle, są tak zw. „Przepisy ochrony zdrowia publicznego“, wydane w r. 1864 na zasadzie ukazu o urządzaniu gmin. Wykonanie tych przepisów należy do obowiązków wójta gminy, sołtysów i straży ziemskiej, a oto ich treść:

1) Wszysey obywatele lub ich rządcy za wiadamiac powinni najbliższą władzę policyjną w gminie, jeżeli naraz zasłabnie wiele osób na jedną chorobę.

Otóż, jak wyjaśnia dr. Wejssel, w gminie, gdzie najczęściej pierwszą pomoc a czasem

i dalsze, niesie felczer lub znachor, o takich chorobach nie tylko się nie zawiadamia wójta, sołtysa lub straży ziemskiej, ale, o ile można, starannie się ukrywa. Stąd jest niemożliwa jakakolwiek statystyka, która by dawała pojęcie o stanie zdrowotnym ludności. Przytem wogóle lekarzy w gminach jest za mało.

Władze policyjne gminy, dowiedziawszy się o chorobie zaraźliwej, powinny zawiadamiać władze powiatowe, a następnie odpowiedniego lekarza urzędującego, którego zadaniem jest zarazek chorób epidemicznych zniszczyć i tym sposobem zapobiedz dalszemu ich rozwojowi. „Wobec jednak dość często niechlujnej wsi, z chatami, kąpiąciami się w oborniku, braku ustępów i domów izolacyjnych, usiłowania te zwykle kończą się niedokładną dezynfekcją, a najczęściej... protokołem o tem, co zaszło!“

Zresztą zanim przybędzie lekarz, oddalony o kilka mil, to już choroba znacznie się rozszerzy.

Według przepisów, na żądanie lekarzy urzędujących, straż ziemska może wspólnie z nim, poddawać oględzinom apteki, sklepiki, restauracje, rzeźnie, jatki, owocarnie, piekarnie i t. d. Słusznie dr. W. twierdzi, że przy tych oględzinach powinien być obecny także lekarz-hygienista i doświadczony ogrodnik-pomolog. „Szkoda, że oględziny produktów skuteczniają się tylko przed epidemją cholery...“

Lekarze powiatowi, według prawa, mają ogólny nadzór sanitarny, pilnują biegu spraw w kancelarji urzędu powiatowego i przedstawiają je na zebraniu powiatowym. Lekarze powiatowi z urzędu są członkami rad powiatowych dobroczynnych i powiatowych komitetów opieki nad trzeźwością ludu. Poza tem cięży na nich mnóstwo spraw administracyjnych, sądowych i policyjnych. Wszystko to jest ponad siły i możność człowieka pojedynczego. Lekarz powiatowy, pochłonięty sprawami sądowymi, nie może wypełnić zadań najważniejszych, takich, jak zapobieganie rozwinięciu się chorób zaraźliwych i dysenterji, koklusu, szkarlatyny, tyfusu plamistego i brzuszego, ospy.

To też słusznie dr. Wejssel twierdzi, że „bez pomocy rozsądnej części społeczności gminnej, niepodobna poprawić stanu sanitarnego gmin na lepsze. Bez współdziałania ludzi energicznych i roztropnych, dobroczynne przepisy sanitarne pozostaną martwą literą, a chorzy oddani będą na los szczęścia i niepewne jutro“.

„Lud wieśniaczy, zachowawczy, często przekorny, zawsze nieświadomy, na każdym kroku wymaga przekonywania o potrzebie i korzyściach

hygjeny, jakie z zachowania jej przepisów odnieść może i powinna. Dlatego też katedra w szkole gminnej i wiejskiej, ambona w kościele i sale zebrań gminnych nie powinny szczędzić objaśnień, naocznych przykładów, umiejętnych i cierpliwych przekonywań. Tylko wspólna walka z brudem i nieczystością odnieść może dla wszystkich pożądane skutki“.

Mieliśmy już godne naśladowania przykłady walki zbiorowej, solidarnej z groźnym wrogiem zdrowia ludzkiego. Mianowicie kiedy latem roku 1905 rozeszły się wieści o grożącej nam cholercze, mieszkańcy pow. warszawskiego, a między innymi gmina Czyste, postanowili niezwłocznie, własnymi siłami wystąpić do stanowczej walki z tym wrogiem. Zwołano zebranie gminne, na które przybyli obywatele mający prawo głosu (t. j. trzy morgi gruntu), wybrali oni z pośród siebie 19 osób, które łącznie z władzą gminną miały na celu uporządkowanie interesów gminy pod względem higienicznym i gospodarczym. Projekt komisji obywatelskiej miał się stać organizacją stałą. W tym celu zwrócono się z podaniem do władzy powiatowej i uzyskano zgodę. Do komisji szesnastu weszli dwaj lekarze, dwaj pełnomocnicy gminni i inni.

Komisja sanitarna, złożona z obywateli, wyjednała obecność na posiedzeniach dwu swoich członków w radzie gubernjalnej, dwu w powiatowej, a jednego lekarza przedstawiła jako delegata Towarzystwa higienicznego. Charakter półurzędowy Komitetu obywatelskiego i zaufanie gminy do niego sprawiły to, że wszelkie rady, dotyczące uzdrowotnienia miejscowości, znalazły uznanie i zastosowanie. Komitet ten, już jako instytucja stała, zajął się między innymi nawet oświetleniem gminy elektrycznością.

Tak więc, mamy już w życiu przykład bardzo pouczający, który należałoby zastosować we wszystkich gminach, co jest rzeczą niezbędną przy braku samorządu. Tworząc wszakże takie komitety, należy pamiętać o radach d-ra Wejsla: „Nie dość utworzyć komitet, czy od cholery, czyli też od wszelkich chorób zakaźnych i raz zaprowadzić ład, czystość i porządek w gminie; trzeba go jeszcze utrzymać nadal w tym samym stanie. Do tego służyć powinny od czasu do czasu powtarzane oględziny domów i zagród. Jeżeli bowiem członkowie Komitetu sanitarnego osłabną w energii, jeżeli przestanie ich ożywiać duch obywatelski, a ta wiara, że służą dobrej sprawie, ostygnie, wtedy nie tylko cholera, ale i inne złe siły, jak ospa, dysenterja, tyfusy, gruźlica, szkarlatyna i t. d. gminy nawiedzać nie przestaną“.

Zenon Pietkiewicz.



Szlakami życia miliardera.

5)

Obiadując pewnego razu w towarzystwie swej żony,^{*)} swych córek i dwóch jeszcze lub trzech przyjaciół domu, zastał Morgan niespodziewanie przez jednego z tych ostatnich zagabnięty w sprawie pamiętnego krachu finansowego, jaki przechodziła Ameryka w r. 1895 i podczas którego odegrał rolę zbawcy narodowego, ratując skarb amerykański od niechybnej ruiny. Przypomnienie tego zdarzenia tak rozczerło miliardera, że wbrew swej skłonności do milczenia zaczął opowiadać wszystkie szczegóły i perypetje owych pamiętnych dni, wszystkie emocje, jakie wówczas przeżywał. Mówił nawet tak długo, że towarzystwo spóźniło się na przedstawienie teatralne, na które wybierało się owego wieczoru. Ta niespodziewana elokwencja Morgana tłumaczy się jedynie tem, że doskonale ocenił rolę swą w owych krytycznych dla Ameryki chwilach, rolę, która go odtąd uwieczniła w historii Stanów Zjednoczonych. Jednak chwile, w których Morgan zapomniał o swej umiłowanej zasadzie, że „milczenie to złoto“, zdarzały się bardzo rzadko, może dwa lub trzy razy w jego życiu.

Natomiast przykłady „lakonizmu“ są niezwykle liczne. Po kilkogodzinnej rozmowie z cesarzem Wilhelmem, który z nim chętnie rozmawiał, zapytano się Morgana jakiego jest zdania o monarchu państwa niemieckiego. „Podoba mi się,“ odparł Pierpont i ani jednego więcej nie wykrztusił słowa.

Latem przebywał Morgan w swym majątku podmiejskim Highland Falls, położonym o kilka godzin jazdy od New-Yorku. Pewnego razu syn jego, Jack Morgan, zaprosił do siebie kolegę, z którym razem studjował na uniwersytecie w Harwardzie, polecając mu, aby wsiadł na jacht starego Morgana i razem z nim przyjechał do Highland Falls.

Tak też uczynił kolega uniwersytecki młodzieńca Morgana. Na pokładzie spotkał miliardera, przedstawił mu się, wyjaśnił przyczynę swej obecności, wyciągnął z kieszeni gazetę i usiadł na pokładzie czytać. To samo uczynił Pip, umieściwszy się w wygodnym fotelu vis-à-vis młodzieńca, rozwiniawszy olbrzymią płachtę zadrukowanego papieru. Podczas całej, trwającej kilka godzin podróży obaj czytali gazety, i, zerkając na siebie, nie zamienili ani słówka. Po przybyciu do Highland Falls odezwał się stary Morgan do młodzieńca: „Twój kolega jest z jednym z najsympatyczniejszych młodzieńców, jakich w swoim życiu spotkałem“...

Morgan był namiętym palaczem. Palił niemal bezustannie i to specjalny gatunek dużych czarnych cygar, pozostawiających olbrzymie kłęby dymu, w które wpatrywał się miliardera i —

kalkulował. Cygara te wyrabiano specjalnie dla niego na wyspie Kuba, w miejscowości Santa-Clara, ad hoc zakupionej przez Morgana, i tutaj kultywowano ów specjalny gatunek czarnych liści tytoniowych (przepajanych perfumami), z których wyrabiano cygara dla króla Finansów.

Jak i wszyscy śmiertelnicy nie był Morgan pozbawiony i pewnych słabostek ludzkich. Najbardziej prześladowała go obawa przed mordercami. Wiecznie i wszędzie bał się, że zostanie zamordowany, że uknuto spisek, którego on ma zostać krwawą ofiarą. Zmora ta najbardziej dokuczała miliarderowi i często wyrządzała mu tragicomiczne figle.

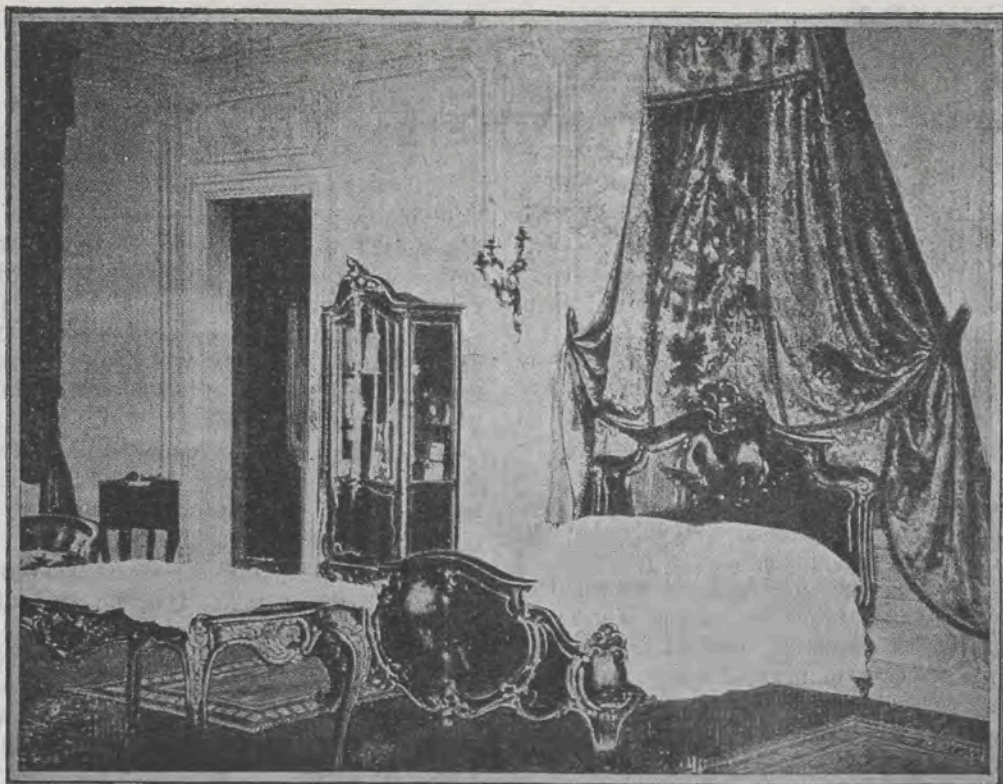
Zaproszony przez pewną damę z arystokracji angielskiej dla spędzenia u niej wieczoru balowego, Morgan, jak zwykle punktualny, przybył pierwszy, prawie o całą godzinę wcześniej przed innymi gośćmi. Czekając na ich przybycie, rozmawiał spokojnie z panią domu, gdy nagle rozległ się straszny huk w sąsiednim pokoju (był to huk przewróconego stołu ze statkami, spowodowany nieostrożnością służby). Morgan niezmiernie przeląkł się, co zauważyła gospodyni, więc też sama wyszła zobaczyć, co się stało i nakazać zaprzestanie harmideru. Morgan jednak skończył z tej chwili, aby jednym susem znaleźć się na parapecie okna (mieszkanie znajdowało się na parterze) i aby w razie niebezpieczeństwa móc ratować się ucieczką przez okno — po amerykańsku. Wracając do pokoju, znalazła go pani domu w tej tragicomicznej pozycji, śmiertelnie bladego i siedzącego na oknie w ten sposób, że jedna noga była w pokoju a druga na ulicy. Morgan przeprosił uprzejmą damę, wkrótce ją pożegnał i od tego czasu noga jego nie przystąpiła progów domu, w którym tak gwałtownie doznał emocji.

Morgan obawiał się nie tylko zamachu na życie, ale i zamachu na swą kasę. To też wszelkie środki ostrożności były przesięgnięte aby złodzieje — w Ameryce jeszcze więcej odważni i więcej pomysłowi, niż w Europie — nie mogli się do niej dostać. Skarbiec zaopatrzono w całą sieć dzwonek elektrycznych, które umieszczono nawet w zamku, tak, że wsadzając klucz do jego otworu, już rozlegało się alarmujące dzwonięcie. Do skarba mógł się Morgan dostać tylko w oznaczonej godzinie dnia i nie inaczej, jak w obecności urzędnika t. zw. *Safe Deposit Company*. W niedzielę skarbiec zamykano hermetycznie i nikt do jego wnętrza nie mógł przeniknąć, nawet sam miliardera. Niezależnie od warty, która w dzień i w nocy pilnowała skarba, został on jeszcze połączony dzwonekami elektrycznymi z biurem policji, i dyrektorem banku etc.

O zmarłym królu opowiadają również historie dość zabawne,

Dentysta, który plombował mu zęby, najwięcej miał z nim kramu, miliardera bowiem najlżejszego nie chciał znieść bólu. Ażeby odwró-

^{*)} Po sześciu latach wdowiego życia, ożenił się Morgan powtórnie, poślubiając córkę adwokata nowojorskiego, miss Franciszkę Luizę Tracy, z którą miał trzy córki i jednego syna — niemal wyłącznego spadkobiercę fortuny ojca.



Sypialnia Pierponta Morgana.

cić jego uwagę od delegliwości spowodowanych świdrowaniem zęba, uciekał się Eskulap do praktykowanych w takich wypadkach środków: opowiadania bajek mniej lub więcej zajmujących. Dentysta wiedział doskonale, że dotknie najczulszego miejsca dumy miliardera, jeśli przed nim snuć będzie opowieść o nędzy ludzkiej. Przez cały więc czas drapania emalii zęba opowiadał mu o cierpieniach młodej wdowy, inteligentnej, milej, ładnej, lecz którą spotkało wielkie nieszczęście: wydała na świat aż trzynaścioro dzieci. Była zaś tak biedna, że nie mogła wyżywić nawet sześciorga. Więc rzecz naturalna, że umierała z rozpacz, dzieci z głodu, a zimno i choroby do reszty spustoszyły wątłe organizmy nieszczęśliwych dzieci i znękaną kobiety i t. d. Dentysta tak długo snuł swą baśń, dopóki nie ukończył swej operacji w ustach miliardera. Ten, podnosząc się z fotelu, nie pamiętał wcale o bólu jamy ustnej, lecz zajęty był wyłącznie losem nieszczęśliwej bohaterki dentystycznej imagacji. Nazajutrz otrzymał Eskulap list od Morgana treści następującej: „Kochany Doktorze, załączam czek na 50,000 franków dla wdowy, której ubóstwo wczoraj mi opowiedziałeś. Wręcz jej czek i powiedz jej w moim imieniu, że mieć trzynaścioro dzieci, to największy idjotyzm na świecie. Oddany panu—Morgan“.

Pewien lekarz pragnął założyć przytułek dla kobiet bezdomnych, chcąc dla swego projektu uzyskać zapomogę pieniężną, postarał się o audjencję u Morgana. Lekarz długo i gorąco opowiadał miliardrowi o potrzebie założenia takiego przytułku i starał się wszelkimi siłami zainteresować go swoją inicjatywą. Gdy wreszcie ukończył, odezwał się brutalnie Morgan: „Zawró-

cił mi pan tylko głowę. Trzeba było odrazu przynieść gotowy plan wraz ze wszystkimi szczegółami budżetu. Dostarcz mi pan przyzwolcie opracowanego projektu, a pogadamy“. Lekarz wściekał się złości. „Za te parę tysięcy franków—myślał—które od bestji tej chcę wyostać, muszę siedzieć nad opracowaniem planu i budżetu i więcej stracić czasu, niż cała ta historia warta; a jakoś widzi mi się, że w końcu odprawi mnie z kwitkiem“. Po kilku jednak dniach zgłosił się do Morgana z gotowym planem. Miliarder rzucił nań okiem, zwrócił lekarzowi, wziął pióro do ręki i wystawił mu czek na... 7 milionów.

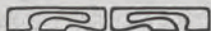
Inny przykład dobroci i hojności osłoniętej zewnętrzną gburowatością, dał miliardier, przyjmując prezydenta miasta New-Yorku, Wiljama R. Grace'a. Ten udał się do filantropa z prośbą udzielenia wsparcia dla instytucji, chylącej się do upadku. Wysłuchawszy propozycji prezydenta, odezwał się doń Morgan w sposób tak brutalny, że do głębi obrażony Grace chciał momentalnie opuścić gabinet gburą. „Dokąd pan idziesz?“, zapytał Morgan. „Do domu—odparł prezydent—i przepraszam pana, że go niepotrzebnie trudziłem“. „Racz pan chwilę poczekać“, rzekł bankier, wypisując czek na 50,000.

Wszystkie owe akty dobroczynne załatwiał Morgan osobiście; nigdy nie uciekał się do niczyjego pośrednictwa, nikim się nie posługiwał i nie zasięgał nigdy informacji. Decydował momentalnie największe sumy, o ile tylko proszący potrafił wzbudzić w nim zaufanie i o ile projektowane przedsięwzięcie miało istotnie na celu realny pożytek publiczny.

(d. e. n.)

S. Auerbach.

FELJETON TEATRALNY.



Teatr Polski. — „Dzieci“. Przez L. Nepoty'ego. Sztuka w 3-ach aktach.

Dziwne złudzenie optyczne mieli prawie wszyscy widzowie na przedstawieniu sztuki pana Nepoty'ego p. t. „Dzieci“. Oto w połowie pierwszego aktu rama sceniczna zdała się być wycięta w kształt potwornie wielkiej dziurki od klucza. I to trwało, aż do końca przedstawienia, aż do ostatniego „ach“, wypowiedzianego na scenie. Gdyby widownia mogła się rumienić! Gdyby posiadała choć trochę wstydu! Ale publiczność zawsze tam idzie, dokąd ją prowadzi autor, nawet tam, kędy chadzać nie warto. Czy warto było zaglądać przez dziurkę od klucza do problematycznych tajemnic pewnej francuskiej rodziny? Czy dobrze uczynił autor, ukazując bardzo prywatne kolizje?

Niech na to odpowie bulwar paryski ze swym smakiem i upodobaniami. Niechaj dusza tłumy, która stworzyła dramaturga w rodzaju p. Nepoty'ego wytłomaczy nam wszystko. Bulwar kocha plotkę, bulwar ryczy z zadowolenia, gdy mu się uda odstąpić odwrotną stronę takiej napozór szczęśliwej i pod każdym względem nienagannej rodziny Villaretów. Odwrotną stronę rodziny, noszącej etykietę „Villaret“ jest — etykieta: „Burdan“. — Rzeczy nie są tak proste, jak się wydaje! — woła przez dialogi sceniczne inwencja p. Nepoty'ego. Do państwa Burdan wkroczyli Villaretowie i odtąd [państwo to zowie się Villaret. Czy to nie dziwne? Pan Villaret ożenił się z wdową, panią Burdan i objął w posiadanie dom jej zmarłego męża. Przyjeżdża starszy syn pani Burdan i robi awanturę. „Jakiem prawem ten przeklęty Villaret rozporządza się mieniem mego ojca! Na jakiej zasadzie, zmienia święty system wychowania młodzieży, ustanowiony w rodzinie przez nieboszczyka Burdan'a?!“

Ze słów młodego Ryszarda Burdan'a publiczność zalegająca salę, dowiaduje się, jak skąpe posiada wyobrażenie o wielkich ludziach.

Taki pan we fraku z pierwszego rzędu krzeseł, dotychczas czeił Sokratesa, Platona, wszystkich mędrców średniowiecza i czasów nowożytnych, ostatnio nawet zgodził się na kanonizację Henryka Bergsona. Lecz pominął nieboszczyka Burdan'a! Burdan, czczony wyłącznie w kręgu swej rodziny, poczyna jątrzyć sumienie co inteligentniejszych widzów.

— Wie pan, przypominam sobie, że ja gdzieś o tym Burdanie czytałam, — rzekła pewna dama w aksamitnym okryciu, gdyśmy wychodzili z teatru.

Lilipucia nikłość samozwańca - uzurpatora w porównaniu z takim tytanem, jak ojciec Ryszarda doprowadza spryt pana Nepoty'ego do splątania bardzo „ibsenicznego“ problemu. Czy kobieta ma prawo wychodzić poraz wtóry zamąż? Czy może się dostatecznie usprawiedliwić, gwałcąc w swych dzieciach ich uwielbienie dla zmarłego ojca?!

W ten sposób pan Nepoty gra na podwójnych strunach tłumy. Porusza mózg i serce. Podnieca również instynkt ciekawości. Powołuje widzów na sędziów w pikantnej i sensacyjnej aferze Villaret-Burdan. Młodzieńcy na galerji wysilają zdolność myślenia, aby rozwikłać problemat. Starsi mężczyźni, bliżsi już „tamtego brzegu“, oburzają się z Ryszardem, broniącym świętości grobu. Zaś wdowy w łóżach czekają.

Jako francuz, pan Nepoty, jest pełen galanterji dla dam.

— Miłość usprawiedliwia wszystko. Dzieci nie powinny walczyć z uczuciem, które obudziło się w ich matce. Matka-wdowa — jest mimo wszystko — kobietą! —

Zamyśleni młodzieńcy z uczuciem ulgi opuszczają teatr. Wdowy tryumfują. Tylko starsi mężczyźni z rozpaczonym gościem padają w śmiertelne objęcia — przygnębienia.

Najlepiej grały p.p. Janecka i Duninówna.

Jakob Appenzlak.



Ubiegły tydzień dał melomanom warszawskim cały szereg pięknych wieczorów muzycznych, zainaugurowanych gościnnym występem p. Jerzego Bakłanowa, artyści teatrów cesarskich w Petersburgu, w Teatrze Wielkim. Ażeby mózgi ocenić wielki artyzm tego śpiewaka, warto się przecież zastanowić nad samą sztuką śpiewu operowego. Sztuka ta od czasów wagnerowskich uległa zupełnej przemianie. Przed Wagnerem, t. j. podczas wszechwładnego panowania opery włoskiej śpiewak zajmował najpierwsze stanowisko. Dzieło kompozytora i poety miało jedynie na celu dać śpiewakowi możliwość pokazania pięknego i wyszkolonego głosu. Wielkiej inteligencji i talentu aktorskiego od śpiewaków nie wymagano. Tak pisze np. Wagner w swoich wspomnieniach paryskich z r. 1840—41, że w wielkiej operze dawano arcydzieło Mozarta „Don Juana“, li tylko dlatego, aby sławny naówczas śpiewak Rubini w tym utworze mógł wykonać efektowny swój tryl z wysokiego *a* do *b*, czyli że samo dzieło muzyczne śpiewak uważał jedynie za środek do wykazania swojej techniki głosowej. Dziś wymaga się od śpiewaka czegoś wręcz przeciwnego. Sama opera, jako utwór muzyczny i dramatyczny stoi na pierwszym planie, a zadaniem śpiewaka jest, jaknajdoskonalsze odtworzenie idei zarówno kompozytora jak i poety. Dobry śpiewak musi więc być zarazem doskonałym aktorem. Śpiewacy, których cała gra sceniczna polega jedynie na banalnym rozkładaniu rąk lub przyciskaniu ich do piersi, mimo najświetniejszych warunków głosowych, nie mogą rościć sobie pretensji do wielkiego aryzmu, a takich śpiewaków po scenie naszej opery przewija się, niestety, bardzo dużo. Z jaką więc rozkoszą słuchaliśmy z tejże sceny artystę-śpiewaka, odpowiadającego najwybredniejszym wymaganiom. P. Bakłanow, prócz przepięknie brzmiącego głosu, wielkiej umiejętności władania nim i świetnej dykcji, posiada

jeszcze duży talent sceniczny, który objawia się szczególnie w kierunku charakterystycznym. Gra jego daleka jest od wszelkiego szablonu i cechuje ją wybitna indywidualność. Wykonane przez p. Bakłanowa na scenie naszej opery trzy wielkie role, Mefistofelesa, Rigoletta i Demona, były trzema odrębnymi kreacjami, z których każda uderzała wielką wyrazistością typu i siłą plastyczną. Publiczność, wypełniająca teatr po brzegi, nie szczędziła genialnemu artyście entuzjastycznych oklasków.

Uczcie artystycznej, jaką zgótował nam pan Bakłanow, w niczem nie ustępowały dwa koncerty w sali Filharmonji, występ chóru synodalnego z Moskwy i wielki symfoniczny koncert z udziałem sławnego pianisty p. Maurycego Rosenthala.

Niema chyba nie wznioślejszego i świętszego w zakresie muzyki ponad śpiew pięknego chóru kościelnego, przypominający brzmieniem swoim potężny i podniosły ton organów. Brzmienia takie może osiągnąć tylko chór składający się z samych mężczyzn, t. zn., głosy sopranowe i altowe powinny być wykonywane przez chłopców, gdyż jedynie metaliczne i jędrne głosy chłopięce zlewają się z tenorami i basami w jedną całość dźwiękową, podczas gdy głosy kobiece odbijają od zespołu chóralnego pewną miękkością, a zarazem krzykliwością w brzmieniu. To też słusznie starzy ojcowie kościoła ustanowili prawo: *Mulier taceat in ecclesia*. (Kobieta niech milczy w kościele). Chóry kościelne rosyjskie oddawna cieszą się sławą wszechświatową. Chór synodalny moskiewski pod dykcją p. Gołowanowa może przyczynić się tylko do powiększenia tej sławy. Pierwsze chóry europejskie, jak np. tumski w Berlinie, ratyżboński i sykstyński stoją może wyżej pod względem muzykalności i repertuaru, ale nie posiadają tak pięknych głosów męskich i chłopięcych, jak koncertujący u nas chór synodalny. Specjalne uznanie należy się p. Gołowanowo-

wi. Doskonały ten dyrygent zdawał się nie kierować chórem, lecz grać na jednym wspaniałym instrumencie, z którego wydobywał wszystkie wymarzone efekty i subtelne cieniowania. Wykonanie kompozycji Lwowa p. t. „Boże ulituj się“ było ostatnim wyrazem sztuki kapelmistrzowskiej.

Znaczenie dobrego i utalentowanego kierownika chórowyказаły rezultaty, jakie osiągnął p. Dołżycki w ensemblowym (trzecim) akcie „Halki“, wystawionej na rozpoczęcie bieżącego sezonu operowego.

Drugi wieczór w Filharmonji w piątek był pierwszym z zapowiedzianego cyklu mistrzów fortepianu z udziałem p. Rosenthala. Stosunek wirtuoza do twórcy muzycznego równa się stosunkowi aktora do autora. Talent sceniczny zaś objawia się przedewszystkiem w możliwości odtworzenia typu nakreślonego przez poetę z jaknajwiększą obiektywnością, nie przestając być zarazem jak najbardziej subiektywnym. Aktorzy dzielą się na dwie kategorie. Do pierwszej należy niewielka ilość tych, którym talent odtwórcy pozwala wcielić się w typy wszelkiego rodzaju, do drugich zaś zaliczają się aktorzy, których t. zw. *emploi* obejmuje tylko pewien rodzaj typów. Jeśli chodzi o zestawienie wirtuoza z artystą dramatycznym, to p. Rosenthala porównaćby można z aktorem tej drugiej kategorii. O ile wykonanie przez p. Rosenthala utworów Chopina nie odznaczało się wielkim zrozumieniem i odczuciem, o tyle Fantazję G dur Schuberta i Fantazję węgierską Liszta odegrał pianista z najwyższym natchnieniem i imponującą brawurą. Olsniewającą i oszalamiającą wprost technikę swoje wykazał p. Rosenthal specjalnie w własnej humoresce na temat walców strausowskich.

Obyśmy podobnych wrażeń, jak w tym tygodniu, mieli w sezonie bieżącym jaknajwięcej.

Bolesław Przybyszewski.



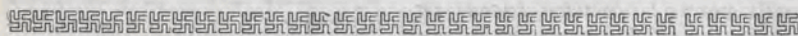
P. Małgorzata Kochanowicz.



P. Bolesław Kochanowicz.

Rzadką uroczystość święcili w dn. 23 b. m. znany dobrze w Warszawie i szanowany ogólnie obywatel i przemysłowiec, p. Bolesław Kochanowicz z małżonką swoją, Małgorzatą z Dmowskich. Bo oto, o godz. 10 z rana, ks. prałat Dąbrowski, jako w dzień obchodu srebrnego wesela, udzielił małżonkom Kochanowiczom błogosławieństwa w kościele pokapucyńskim, t. j. w tej samej świątyni, w której przed 25 laty, złączeni stulą, szli oboje na wspólną, a szczęśliwą drogę życia. Następnie, tegoż dnia, w południe, ks. Emil Sumiński, wobec liczego grona przedstawicieli przemysłu i kupiectwa i pracowników firmy dokonał aktu poświęcenia obszernej posesji przy ul. Targowej № 12, na której p. Kocha-

nowicz, jako właściciel istniejącego już od lat dawnych biura przewozowego i ekspedycyjnego, rozpoczyna budować wielki dom dochodowy, a obok niego gmach 6-ciopiętrowy na pomieszczenie branych na przechowanie mebli i towarów oraz remizę wzorową. Po poświęceniu, akt na pergaminie, podpisany przez obecnych, kilkanaście monet i pism z dn. 23 b. m. włożono do puszeki i zamurowano przy zakładaniu fundamentów pod budowę. Po uroczystościach dnia — odbyło się bardzo liczne zebranie w gościnnych salonach p.p. Kochanowiczów, gdzie znajomi i przyjaciele składali gospodarzom serdeczne życzenia, a między innymi doczekania brylantowych godów i... jeszcze kilku domów dochodowych.



KSIĄŻKI.

f. R. Ozarowski. Wykład Stenografii Polskiej (dla szkół i samouków). Dodatek: Kajet ze wzorami do ćwiczeń. 1500 wzorów stenograficznych. Treść: Przedmowa. Wskazówki dla samouków. Wstęp. Alfabet. Prawidła skróceń. Skrócenia zgłosek początkowych. Skrócenia końcówek. Znaczniki. Stenografja liezb. Języki obce. Wskazówki praktyczne. Odezwa do uczących się. Skorowidz wzorów. Skład główny w księgarniach Gebethnera i Wolffa. Cena z kajetem Rb. 1.50. Pod powyższym tytułem autor

zebrał wyniki dziesięcioletniej pracy nad ulepszeniem swego systemu stenograficznego, ogłoszonego poraz pierwszy w roku 1904 w postaci „Samouczka Stenografji Polskiej”. Jakkolwiek bowiem pierwsze wydanie rozeszło się w krótkim czasie, autor zwlekał z wypuszczeniem nowego wydania, pragnąc przedewszystkiem udoskonalić swój system tak pod względem teoretycznym jak i praktycznym. Miał on ku temu bogaty materiał w swojej praktyce, o której wspomina w przedmowie. Znajdujemy tam nazwiska prawie wszystkich posłów naszych i wielu wybitnych mówców z Królestwa i z za kordo-

nu, których żywe słowo utrwalane było przez wymienionego wyżej autora. Dalej, będąc w kontakcie z czytelnikami pierwszego wydania, autor miał sposobność zaobserwować braki jakie w tej pierwszej próbie, rzecz prosta, miały miejsce, i usunąć je w obecnym podręczniku, przyczem nie zaniedbał również badań w kierunku postępu innych systemów stenograficznych zagranicą i w kraju. Pracy tej zawdzięczamy, nadzwyczaj systematyczny i celowy układ teorii, popartej licznymi wzorami w tekście i w specjalnym kajecie do ćwiczeń, ułożonym na podobieństwo kajetów, używanych do nauki kaligrafji. Skorowidz wzorów znacznie ułatwia korzystanie z podręcznika. Pragnąc zaś jeszcze bardziej uprzystępnić naukę, zwłaszcza tym, którzy nie będą korzystali z pomocy nauczycieli, autor w odezwie ofiaruje się bezinteresownie poprawiać nadsyłane mu próbki pisma.

Ulepszenia te, w żadnym podręczniku stenografji polskiej dotąd nie stosowane a szczególnie odezwa autora, z korzystnej strony przedstawiają jego istotne zajęcie się rozpowszechnieniem umiejętności bardzo pożytecznej, a tak, niestety, u nas zaniedbanej.

Wiliam Shakespeare. Dzieła dramatyczne w dwunastu tomach. Tom X i Tom XI.

Nakładem firmy wydawniczej Gebethnera i Wolffa wyszły ostatnio dwa tomy pism Wiliama Shakespeare'a zawierające dzieła dramatyczne „Hamlet”, „Król Lir”, „Otel.o” (tom X), „Makbet”, „Romeo i Julja”, „Cymbelin”, (tom XI) W tomie X znajdujemy niezwykle ciekawy wstęp do „Hamleta” opracowany przez p. J. Paszkowskiego. Przedmiot swój autor traktuje rzeczowo, bez czężej frazologii tak często używanej w nawiązaniu do najdziwniejszej tragedji ludzkości, jaką jest szekspirowski Hamlet. P. Paszkowski kieruje się wyłącznie orientacją historyczno-porównawczą, przez zestawianie pism, mających jakakolwiek z arcydziełem Szekspira łączność. Szczególniej ten sposób naukowego postępowania, rzuca się w oczy, przy omawianiu genezy Hamleta Autor wstępu skrętnie a rzetelnie podał prawie wszystkie dokumenty, mogące rzucić jakieś światło na powstanie legendy o królewiczu duńskim.

Pozatem dwa nowe tomy przekładów stoja na tym, naprawdę wysokim poziomie, jakie wydawnictwo dzieł Szekspira od początku swego osiągnęło.





Femina

JEDNĄ Z NIEWIELU.

Podróż do K. miasteczka ziemi lubelskiej, odkładaną razy kilka postanowiłam odbyć narzeczcie tej wiosny — to jest r. 1876.

Chciałam, żeby syn mój czternastoletni i dziewięcioletnia córeczka poznali cioteczną babkę moją a ich prababkę — dziewięćdziesięcioletnią majorową Ł.

Rodzina matki mojej osiadła od wieków w lubelskiej ziemi nieopodal Puław, i więcej niż stosunkami sąsiednimi z niemi złączona, była zblizoną i z rodziną Poniatowskich.

Tragiczne losy kraju zabrały liczne ofiary z rodziny naszej, pod Maciejowicami zginął ojciec prababki. Czartoryscy zabrali do Puław krewną sierotkę a księżna Izabella bardzo starannie ją kształciła.

Roku 1807 — zastał Emilję śliczną już pannę — a i „uczoną“, jak ją w Puławach zwano.

Piękna panna bywała w Warszawie z opiekunami swemi, tu dostała przydomek „dumnej sawantki“; piękny „Pepi“ mieszkał wtedy i bawił się w stolicy. Dla kuzynki sieroty miał szczerą szacunek.

Elektor Saski, Fryderyk August książe Warszawski, pono wierzył, że na tronie Polskim po śmierci jego, a może nawet wcześniej zasiądzie jego jedynaczka, Augusta... Małżonkiem jej miał być jakoby Książe Józef.

Fryderyk August zapragnął, żeby córka

uczyła się po polsku i choć przypuszczalni małżonkowie doskonale porozumiewali się po niemiecku i francusku, ojciec pewnie z racji politycznej, zaczął poszukiwać osoby mogącej uczyć królową.

Czy była to myśl Króla?.. dość, że szukając w polskich rodach, godnej na to stanowisko damy dworu a zarazem towarzyszkę córki — postanowił zaproponować Czartoryskim znaną mu oświadczenie ich krewną i wychowanek.

Emilja propozycję przyjęła; a choć nie długie były czasy tej nauki, młode kobiety sercami zbliżyły się do siebie i ten przyjazny stosunek przetrwał bardzo długo. Emilja z Drezna przyjeżdżała do kraju parę razy.

Książe Józef zbudzony z przymusowej bezczynności do energicznego działania, jako minister wojny i do ciężkiej trudnej pracy organizowania armji polskiej Księstwa Warszawskiego o zamiarach matrymonjalnych nie zamyślał.

Przyszedł rok 1812. Książe Józef na czele armji polskiej szedł na wschód z Napoleonem.

Panna Emilja nie powróciła już do Drezna. Cały niemal swój dziedziczny majątek, pracę i czas swój oddała na ofiarę i służbę ojczyźnie, miłość dla której, razem ze czcią i miłością dla księcia Józefa stała się odtąd jej życiem, jej modlitwą, jej natchnieniem.

Nadszedł rok 1813 — i dzień 19 października. (d. n.)

Z DZIEDZINY HYGIENY.

Oddychanie i powietrze.

(Dokończenie).

Dziecko oddychające ustami ma wygląd mało inteligentny, gdyż przeszkoda we wprowadzaniu powietrza przez nos wpływa ujemnie na rozwój umysłowy i fizyczny.

Matki widzące swe dzieci z niedomkniętymi ustami, których zamknąć nie mogą, bo by się udusiły, niech czempredzej zaprowadzą je do lekarza, a ten orzeknie co czynić wypada. Usunięcie tych przeszkód, t. j. operacja wcześniej zrobiona, wpłynie tylko pomyślnie na rozwój dziecka.

Bardzo często u nas mieszają pojęcie świeżości powietrza z zimnem, zapominają o tem, że powietrze suche i ciepłe jest stokroć zdrowsze od zimnego i wilgotnego. Jeżeli chcemy mieć suche powietrze w mieszkaniu, powinniśmy w lecie trzymać okna otwarte, w zimie zaś palić i często przewietrzać.

Otwierać okna przynajmniej 4 razy dziennie, szczególnie nie zapominać o otwieraniu

z rana i przed udaniem się na spoczynek, przytem oddychać niekiedy głęboko; są to przykazania codziennego życia, łatwe do wykonania, które każdy z nas obowiązany jest stosować wraz z całą rodziną.

Nie zapominajmy, że największym przyjacielem naszego zdrowia jest czyste powietrze i dobre oddychanie.

Dr. Gabriela Majewska.

K R O N I K A.

Francuska Akademia Nauk Estetycznych przyznała przewodniczącej Związku stowarzyszeń kobiecych, p. Siegfried, za jej prace społeczne, nagrodę w wysokości 3,000 franków. Organ „La Française“ podkreśla zasługi laureatki, uważając fakt ten za wyraz ogólnej opinii i należnego uznania.

Na 27-ym kongresie Związku wszystkich kobiecych stowarzyszeń w Niemczech, a który miał miejsce we wrześniu, poruszano sprawę stosunku ruchu kobiecego do stale zmniejszającej się liczby urodzin. Większość zebranych dowiodła, że oba te fakty związane są z sobą bardzo luźno, a właściwą przyczyną są warunki

ekonomiczne i budzące się zarówno u kobiet jak u mężczyzn poczucie odpowiedzialności za wychowanie i przyszłość dzieci.

Ciekawe wykłady rozpoczęto dla krawców i szwaczek w Berlinie, w sali Niemieckiego Lyceum-Klubu. Oto p. Helena Federn-Schwarz, wygłosić ma kurs historii ubrań i kostjumów artystycznych z różnych epok i stylów.

Kobieta napisała 4-aktowy dramat awiatyczny p. t. „Lotnik“; ma on być wystawiony w Wiesbaden w Residenz-teatrze — autorką jest Niemka, Klara Blüthgens.

Ł. K.

PORADNIK DOMOWY.

Delikatne kluski z kaszki pszennej do rosółu.

Małą łyżkę masła utrzeć doskonale na misce, dodać po jednym dwa żółtka, pianę z dwóch białek, dwie łyżki kwaśnej śmietany i mieszając dosypywać zwolna półkwaterek kaszki pszennej, poczem pozostawić ciasto spokojnie na jakie pół godziny, aby kaszka napęczniała i wówczas dopiero kłaść łyżką metalową małe, podłużne kluseczki na gotujący się rosół. Gdyby kluski okazały się za twarde, dodać nieco śmietany lub jedno jajko.

Gruszki nadziewane.

Gruszki większe, z gatunku jedwabnie, spawówek, bab, lub bonkretów i t. p. obrać, pozostawiając korzonki i przekrajać na dwie nierówne połówki, które większe z korzonkami wydrążyć, obsmarzyć do przezroczyistości w dość

gęstym syropie i potem wyjąć na sito dla osączenia. Drugie, mniejsze połówki ugotować w wodzie do miękkości, wziąć taką samą ilość jak gruszek skórek pomarańczowych wraz z białem mięsem (które zwykle w zimie mamy zasuszone), ugotować je również do miękkości, zmieniając po kilka razy wodę, aby gorycz usunąć i osączone z wody, wraz z ugotowanymi gruszkami jak najdrobniej posiekać, poczem w syropie pozostałym od gruszek i wysadzonym do gęstości zasmarzyć, aby się gęsta masa utworzyła, tą masą jeszcze ciepłą nakładać osmażone gruszki w taki sposób, aby zachowały pozór całych, następnie układać je na lasach lub przetakach masą do góry, aby gruszki formy nie straciły.

Wsunąć w piec po chlebie, a gdy przez pół przeschną, umaczać je raz jeszcze w gęstym syropie i dosuszyć. Można przy nakładaniu farszu na gruszki w środek każdej masy umieścić migdał obciążony z lupinki.

P. Szum.



Z RUCHU KOBIECEGO.

Feminizm w Turcji.

Wiadomo, że kobiety tureckie, owe nieszczęsne, upośledzone i udreżone niewolnice haremów, w ostatnich latach dzieśnięciu założyły protest, podniosły prawdziwy bunt przeciw odwiecznym prawom Koranu, i ku największemu zgorszeniu całego zastępu tamtejszych, zfanatyzowanych konserwatystów, zaczęły używać pewnych swobód,

wyłamując się potrochu ale wytrwale ze swej ciężkiej niewoli. Były to drobne reformy—jakaś bardzo enigmatyczna swoboda, ale zrobiono pierwszy wyłom, podłożono fundamenty pod gmach nowy... Następnie wszyscy wiedzieli, że kobiety tureckie przyjęły czynny udział w tamtejszej Rewolucji, kładącej kres despotyzmowi Abdul-Hamida i nadającej konstytucyjne prawa. I oto teraz „Indépendance Rou-

maine“ donosi, że utworzono w Konstantynopolu stowarzyszenie feministyczne. Żąda ono reformy kobiecego kostjumu, możności dla młodych dziewcząt uczęszczania do wyższych zakładów naukowych, otwarcia miejsca zebrań publicznych dla kobiet, maluczko, a możemy być pewni, że kobiety tureckie zażądają prawa powszechnego głosowania—zupełnie jak syfrazystki... Kolosalny postęp i przewrót!...



TEATR NOWY.—„SIOSTRA HELENA”.

TUALETY ARTYSTEK.



P. Lubicz-Sarnowska.



P. Leszczyńska.



P. Lorenc.

P. Lubicz-Sarnowska. Najśliczniejsza, najbardziej uroczą ze wszystkich pielęgniarek pod słońcem przywdziała na wszystkie trzy akty obowiązujący rolą kostjum pielęgniarki. Czarna wełniana skromna sukienka, duży biały fartuch z bawetką i muslinowy biały czepeczek, zakrywający w zupełności prawie całość uczesania. Z pod tego czepeczka widniały figlarne oczy i czarowny uśmiech „ulubienicy publiczności“.

P. Leszczyńska. Jak zawsze stylowa, *grand genre* w każdym calu, stosownie z wymaganiem roli umiejająca świetnie się postarzyć, z całą prawdziwie artystyczną abnegacją. Piękne arystokratyczne trzy toalety. Pierwsza *gris perle* z *satin duchesse*, przybierana gazą i wspaniałymi koronkami białymi *point à l'aiguille*, druga *bleu roi* przysłonięta *crêpe chiffon* koloru *noisette*, trzecia blade zielona, tiunika z czar-

nych przepięknych koronek *Chantilly*. Wszystkie trzy toalety domowe strojne, podstarzałej, pretensjonalnej hrabiny.

P. Lorenc. Bardzo wdzięczna, miła postać sentymentalnej blondynki. Zręczne skromne domowe toalety noszone bardzo elegancko; zasługuje na wyróżnienie toaletą białą z *voile Ninon*, *modern style* tak zwana *robe ouverte*, odsłaniająca ładne i ładnie obute stopy.

Marçèle.



MODNE ZASŁONY TWARZY.



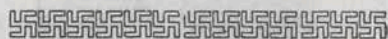
Piszę „zasłony“ boć trudno to nazwać woalkami... Istotnie, że rozsądni i zrównoważeni ludzie, patrząc na obecne i coraz to nowe wybryki „Mody“ — z całą słusnością a nawet już z pewnym odcieniem obawy zapytać mogą tej kapryśnej, ekscentrycznej władczyni: „Modo... gdzie idziesz?... Co jeszcze zrodzi się w twojej rozszalałej fantazji?... Gdzie się zatrzyma twój gorączkowy pęd ku zbyt, ku oryginalności, ku czemuś, co już trudno objąć jakąkolwiek racją bytu?..

Od roku istotnie jesteśmy świadkami niebywałych przedtem modnych objawów. I tak: przebijająca moc świecideł, które modą każe wprost oblepiać kobiece postacie. Od opaski na głowie, od której bije łuna blasków, do końca trzewiczków zasianych brylantami, spięcia tiunik — guziki, łańcuchy, sznury, napiersniki, całe kaskady pereł i t. d. i t. d. wszystko to składa się obecnie na całość strojnej wieczorowej tualety. Następnie tak zwane *robes ouvertes*, tak bardzo modne, odsłaniające stopy i nogi aż

do kolana na którym lśni brylantowa podwiązka... Następnie ogólnie przyjęty a także bardzo ekscentryczny krój bluzek, okryć, futer i t. p. — zwany *aeroplan* tworzący jakby balon dookoła talii i bioder owe odkrycia z niepomiernie szerokimi plecami, raptem przy kolanach zwężone tak, że się trudno w nich poruszyć, owe treny tak zwane *comettes*, wążiuchne, spieczaste, wędrujące gdzieś z boku i bardzo daleko od osoby, owe bluzki z haftowanymi godłami, hasłami, dewizami na sercu, owe lisy farbowane na czerwono, na różowo... cała szalona *psstroka-cizna* z minionego letniego sezonu, będąca naleciałością ostatniej wojny a nazwana *mode bulgare*, aż wreszcie jako ostatni numer tej niezwykłej serji, modne *zasłony na twarz*... będące również ostatnim echem wojny Bałkańskiej. Wiadomo bowiem, że kobiety Wschodu, obowiązkowo — rytualnie, zasłaniały piękne... lub niepiękne oblicza, a teraz wyzwolone częściowo z wielu dawnych barbarzyńskich naleciałości, między innymi nie noszą już całko-

witych nieprzejranych welonów, lecz zasłony w rodzaju tych, jakie znajdują się na naszych rycinach. Rozumiem taką modę na dalekim Wschodzie ale dlaczego europejskie kobiety chcą ją naśladować?.. To dobre dla starych i brzydkich, ale dla tych, które się chcą podobać i za sprawą ładnej i gładkiej buzi wywołać sympatyczne wrażenie... taka zasłona jest w wysokim stopniu nie logiczna...

Marcèle.



Odpowiedzi Redakcyi.

Pani M. N. — Pyszcze, piegi i wągry usuwa w krótkim czasie krem „Floreine“; jest to krem bardzo przyjemny w użyciu, działa łagodnie, nie wywołując zaognienia skóry. Przed użyciem na noc twarz umyć ciepłą wodą i mydłem „Floreine“, które również idealnie udelikatnia skórę twarzy i rąk.

Wołyniance. — Z wyborem pudru radzę być ostrożną. Polecam Pani „Floreine“. Jest to puder ryżowy, pozbawiony naleciałości szkodliwych, nadzwyczaj miłki-dyskretnie przystania braku cery, jest zupełnie niedostrzegalny i dobrze przylega do skóry.



LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

MARJAN ORLICZ.

16)

JAK W BAJCE.

POWIEŚĆ.

— Strasznie pan dziś zagadkowy.

— Czy pani wie, że nasze seanse mają się już ku końcowi.

Podniósł na nią oczy proszące.

— Niech mi pani położy rękę na czoło. O tak? Jak mi dobrze. To tak jak gdyby kto płatki atlasowe białej róży położył mi na czoło. Niech pani mówi do mnie.

— Nie jestem gramofonem.

— Pani Helu! złośliwość? to takie niepodobne do pani, a tak boli...

— A widzi pan.

— Ale pani mi przecież przebaczyła.

Wziął jej rękę i gorąco ucałował.

— Prawda, że przebaczyła? Gdyby pani wiedziała... gdyby pani wiedziała...

Taka przebolesna struna jęknęła w tym wykrzyku niedopowiedzianej skargi, że serce jej ścisnęło się skurczem fizycznego wprost bólu.

Zapytała jednak naprzód obojętnie:

— Panie Zdzisławie, co się dziś z panem dzieje?

— Co się ze mną dzieje? Ja nie wiem, ja sam nie wiem. Pani Heleno! pani Helu! wymyśl się pani w duszę człowieka, któremu druga dusza jest światłem, natchnieniem, a który wie, że do duszy tej niema prawa, że ją na własność wziął inny...

Trwało długą chwilę, zanim drżące wargi zdobyły się na odpowiedź.

— Pan sądzi, że dusza da się zabrać? Przenigdy! Można ją oddać dobrowolnie, niepodzielnie, mimo pozory na zawsze, ale dać zabrać nigdy! nigdy!

— Boję się zrozumieć! Czy to ma zna-

czyć?.. Więc ta dusza? Pani Helu! Helu moja! moja! moja! Runął przed kanapką na kolana i z cichym łkaniem przypadł do skraju jej sukni.

Wzięła głowę jego w obie ręce, jak głowę chorego dziecka.

— Nie płakać. Nie trzeba płakać. Ja nie chcę... Nie będę się więcej borykać szarpać, powiem wszystko. Tak, twoja — mocą przeplakanych nocy, twoja — mocą lat spędzonych w męce serdecznej. Twoja! twoja! Twoją jest dusza moja. Tyś ją zmartwiła, bezwładną, jak ptaka co wypadł z gniazda, ogrzał, przywrócił znowu do życia.

Weź ją! weź mnie. Dużo przemyślałam, długo się wiłam jak robak na szpilkę wbity. Nie mogę już! Nie potrafię, jak inne żyć w kłamstwie, w udawaniu. Nie potrafiabym żyć we troje. Dziś jeszcze powiem Julianowi, że kocham każdą fibry mojego istnienia. Dziś się to skończyć musi.

Dziwne, jak wielka radość w objawach swych jest podobna do wielkiej rozpacz.

Żarski biegał po pracowni jak oszalały, zacierał po swojemu ręce. Jakiś ból nieokreślony rozpieierał mu piersi.

— Więc to prawda! to prawda! nie wierzę moim uszom. Mów do mnie! Mów jeszcze! Powiedz, że to prawda.

— To prawda. Niema, nie było nigdy we mnie nic, coby nie było tobą, mój jedyny, mój przyjacielu!

— Mów! mów! Och! Jak tyle szczęścia, może się pomieścić w ludzkiej piersi!

— Broniłam się, walczyłam z sobą samą jak z wrogiem najzaciętszym. Nie mogę już! Nie chcę! Żebyś ty wiedział jaka ja byłam biedna, jak ciężko pokutowałam za ten krok fałszywy. Pozwoliłam się wydać jak większość naszych dziewcząt, a potem, kiedy przyszła rozważa, doświadczenie...

— Doświadczenie!.. Moje ty biedne, małe kociątko.

— Tak, doświadczenie. Zrozumiałam,

że cię kocham całą duszą, że cię kochać muszę, bo cię mam w sobie w mózgu, we krwi... Te lata męki! wszystko się we mnie obracało w cierpienie.

— A ja! ja, com cię nosił w sercu, jak sakrament święty. Niech mi darowane będzie to porównanie, ale tak jak Leonardo da Vinci przeczuwał, rzec można, swoją Giocondę, malując „Ewę”, „Dziewicę skał” „Lede” i setki innych, dając im prawie twarz Monny Lizy, wtedy, kiedy jej jeszcze nie znał, tak ja zostawszy się dzieckiem prawie, miałem cię ciągle przed oczyma taką, jaką dziś jesteś.

Czy znajdzie się chociaż jedna moja praca, gdzieby twoja droga twarz nie wzięła z płótna?

— Tak, prawda. To on zwrócił na to moją uwagę z właściwą sobie delikatnością. O, być przykutą do człowieka, który początkowo obojętny, staje się coraz bardziej nienawistny! Gdybyż choć jako pancierz mieć obowiązek, ale nim bardziej go poznałam, tym bardziej zabijał we mnie wszelki odruch życzliwszy.

— Moja ty biedna! jest w tem co się stało, wielka część i mojej winy: nie miałem odwagi stanąć w szrankach z bogaczem.

— Nie część, ale duża wina: twoje cofnięcie się, duma moja wzięła za obojętność i to przechyliło szalę.

— Biedna moja! wszystką krew z żył bym sobie wytoczyć pozwolił, byle ci wynagrodzić... Rozporządzaj mną.

— Nie żałuj mnie. Zapomniana już cała golgota męczarni. Jestem z tobą, powiedziałam ci. Zrzuciłam z serca ten kamień, co je cisnął, jak płyta grobowa. Tak mi teraz dobrze! Takam szczęśliwa! Ale na mnie już czas.

— Już? Zostań jeszcze...

— Nie, Sław mój, pójdę. Pójdę wywalczyć moje szczęście, nasze szczęście... Im prędzej pójdę, tem prędzej będę twoją.

— Jak ty słodko skróciłaś moje imię: nikt jeszcze tak mnie nie nazwał. A więc, jeśli tak trzeba, idź moja ty Egerjo. Majątek, znaczenie, sławę wszystko zdobędę, jak ty będziesz ze mną. Ale kiedyż cię zobaczę?

— Napiszę ci, zaraz jutro.

— A mnie czy pozwolisz napisać? Tak mi potrzeba dzielić z tobą każdą myśl, każde tętno serca. Pozwól mi dotknąć ustami twego czoła, moja ty biała, święta.

Zarzuciła mu ręce na szyję.

Jak oszalały zasypywał gorącymi pocałunkami jej czoło, włosy, ręce...

Wyrwała się z jego objęć.

— Ten uścisk to moja przysięga i odkupienie i siła. Dowidzenia, zbawienie ty moje!

Kiedy mu znikła z przed oczu, chciał biec, zatrzymać ją, nie puścić więcej od siebie.

XI.

Cały dzień następny chodził, jak po zaczadzeniu. Nie był w stanie wziąć się do czegokolwiek. Wszystkie jego myśli były przy Heli: co też ona tam robi? kiedy ją zobaczy? jak przeniesie to zajście? co to jest, że dotąd nie ma od niej słówka? Późnym już wieczorem znalazł w skrzynce list.

„Drogi, jedyny - pisała — miałam straszną przeprawę, powiedziałam wszystko. Jak tylko będę mogła się wyrwać, przybiegnę powiedzieć ci to, czego bym nie miała odwagi ci napisać.

Duszą i ciałem Twoja

Hela.

Dech w nim zamarł. Ani słowa pociechy, ani odrobiny nadziei,

Co się tam z nią dzieje?

Wyobrażał ją sobie zamkniętą, strzeżoną, jak w więzieniu.

Nierozebrany rzucił się na tóżko.

W gorączkowym półśnie przeleżał tak do rana, podrywany co chwila z tej chorobliwej drzemki marami skłóconej wyobraźni.

Widział ją bladą jakąś siną bladością, wyciągającą ku niemu bezradne dłonie, to znowu czuł ją przy sobie, wtuloną w oplot jego ramion, całą drżącą ze szczęścia i rozkoszy.

Dopiero nad ranem zasnął twardym snem wyczerpania i przespał tak do południa.

Poderwał go łopot serca. Pobiegł do skrzynki. Nic! Jezus! Marja! co się z nią robi?

Zlał głowę zimną wodą, żeby się otrzeźwić. Starł się gwałtem, wmówić w siebie, że przecież tam chyba nie ma nic złe-

go, że te jego niepokoje, to tylko urojenia chorych nerwów, jednak nic mu z mózgu wyrwać nie mogło ciężkich jak ołów myśli.

Parę razy zbliżył się do portretu. Coraz go odrzucało, jak od trumny ukochanej osoby, na którą nie staje odwagi spojrzeć.

Próbował czytać dzienniki.

Ale myśl gubiła się wciąż.

Wciąż drogę jej zabiegał jeden obraz nieodstępny. Heła! Heła!

Przemęczył tak parę godzin.

U drzwi zadzwieczał dzwonek.

Zerwał się.

Służący wszedł oznajmić, że jakiś pan pragnie wejść.

— Mówiłem, że dziś nie przyjmuję nikogo.

— Powiedziałem proszę pana. Mówi, że tylko na chwilę, ma pilny interes.

— Ileż ci razy powtarzać?

— Ale, kiedy, proszę pana, powiedział, że nie odejdzie, dopóki się z panem nie zobaczy.

— Cóż za kleszcz — pomyślał — w sam raz mi do wizyt. — Proś — zwrócił się do lokaja.

Na widok wchodzącego Lindnera cofnął się przykro zdziwiony.

„No, ten przyszedł w samą porę”.

Teraz dopiero spostrzegł, że ten pan wszedł w palcie i w kapeluszu na głowie.

Bez przywitania zwrócił się do Żarskiego ostro:

— Pan się chyba domyśla celu mojej wizyty.

— Nie zupełnie. Ale, jak uważam, pan zapomniał zdjąć kapelusz.

Lindner się zaperzył, jednak odkrył głowę.

— To śmiałość ze strony pana...

— Jabym raczej sądził, że to śmiałość wejść do pracowni, jak do karczmy. Ale do rzeczy: czemu zawdzięczam zaszczyt pańskich odwiedzin?

— Proszę sobie nie kpić... Mój panie, coby pan sądził o człowieku, któryby panu zabrał z domu... no dajmy na to jakiś przedmiot.

Żarskiego zdenerwowanie potęgowało się.

— Uprzedzam pana, że jestem cierpiący, a potem nie mam czasu na próżne gawędy. Do rzeczy.

— To właśnie należy do rzeczy. Pan bywałeś w moim domu, byłeś dobrze widziany i w końcu pragnąłbyś zabrać z niego najcenniejszy przedmiot.

— Nie trudno mi domyśleć się, co pan nazywa swoim najcenniejszym przedmiotem. Panie łaskawy, ludzie na świecie już raz tak dziwnie bywają złożeni, że ich bierze pokusa na cenne przedmioty.

— Mój panie, pan, jak widzę, żartuje.

— A, pan by wolał, żebym się uniósł, tym lepiej, służę...

Lindner żywym gestem odsunął rękę z biletem wizytowym.

— Jeszcze czego! Ja się bić nie myślę.

— Więc czego pan właściwie żąda ode mnie?

— Nie chcę portretu... Dość tych seansów.

— Proszę się z tym zwrócić do żony.

— Nie pozwolę jej tu więcej przychodzić.

— Od tego należało zacząć.

— Ja sądziłem, że ją posyłam do uczciwego człowieka.

Żarski zbliżył się groźnie.

— A dziś pan sądzi inaczej?

Lindnera widocznie obleciał strach. Cofnął się o krok.

— Ech! pan się czepia słów.

— Niczego się nie czepiam. Tylko ponieważ pan przyszedł z pretensją, muszę oświetlić parę szczegółów: pan wiedział, że niąc się z panną Helą, że... ona miała pewną skłonność do mnie.

— To i cóż, że wiedziałem? Ważna historia — skłonność pensjonarki. Jak jej ojciec wytłumaczył różnicę sytuacji żony malarza, a przemysłowca, zrozumiała i wybrała mnie.

Żarski uderzył weń wyniosłem spojrzeniem.

— To była rzecz pomiędzy mną a nią. Wreszcie jeszcze jedno maleńkie sprostowanie: ani zrozumiała, ani wybrała, tylko dziecko nieznające życia, uległo naciskowi.

— No i źle jej u mnie? — odął z dumą wargi — Panna z mniej niż z zamożnego domu, ma panie, liberję, salony, powozy, a w dodatku męża kochającego.

— Któremu to nie przeszkadza — roześmiał się nerwowo — mieć urzędową utrzymankę obok przygodnych kochanek.

— A gdyby nawet? Ciekawa rzecz, który z mężczyzn jest inny.

— Z mężczyzn, [naturalnie z pańskimi pojęciami.

— Mój panie, chciałbym widzieć, gdyby pan miał żonę i mój majątek.

Żarski zmierzył go od stóp do głów.

— Mnie zechce pan łaskawie wyłączyć. Ale pozwoli pan na jedno pytanie: czy rzeczywiście pan sądzi, że liberja, powozy, etc. są w stanie wypełnić duszę kobiety?

— Oho, już dusza. Ki djabeł wiecznie z tą duszą! Ta nieśmiertelna zwrotka mojej żony uszami mi się już wylewa.

W Żarskim zakipiało.

— Proszę się miarkować, panie Lindner, nie zechce pan chyba, żebym zapomniał, żeś pan w moim domu!

Tamten spokorniał.

— Pomówmy rozsądnie: czy pan rensuje z malowania mojej żony.

— O ile tu przyjdzie, ani myślę...

— Zabronię jej przychodzić. Kobieta zameżna nie ma swojej woli, ma tylko wolę męża.

— W takim razie poco się było trudzić do mnie?..

Widocznem było, że Lindner coś rozważa.

— Powiem panu całą prawdę: ja właściwie przyszedłem z propozycją: wiem: że u malarzy się nie przelewa, ja, panie, zapłacę podwójnie, potrójnie, nie kończ pan tego portretu.

— Panie Lindner, — Żarski podniósł głos — bo zaczynam tracić zimną krew.

— Poco pan ma zaraz tracić zimną krew? Prawdziwy gentleman nie traci jej nigdy. Zresztą ja panu nie powiedziałem jeszcze wszystkiego. Ta fiksatka zapowiedziała mi stanowczo, że odemnie pójdzie, i ja ją znam, gotowa dotrzymać słowa, widziałem to po niej. Mnie tam tak dalece o nic nie chodzi, ale, proszę pana, człowiek ma stosunki; mnie chodzi, panie o skandal, o wstyd... Rodzina, panie... W ostatnim razie, niechby pan już i przychodził, niech tam, przymknę oczy... byleby...

Żarskiemu czerwona łuna przeleciała przed oczami.

Zerwał się oburzony.

— Na takie „dictum“ należałoby pana

wziąć za kark i wyrzucić za drzwi... ja tego nie zrobię, ale robię równoważnik: zostawiam pana.

Wziął kapelusz i trzasnął za sobą drzwiami.

Lindner wściekle wygrażał za nim.

— Ja ją nauczę! ja was nauczę oboje!

W bezsilnym gniewie strabił zupełnie głowę.

„Co tu robić?“ z żoną już by sobie poradził, bo dokąd to pójdzie? ale ten przeklęty malarz!.. To nie ta sama od jego przyjazdu. Gdzieżby śmiała kiedy zapowiedzieć mu, że odejdzie? Z tej miłości on tam sobie wiele nie robi: skończą się seanse, to i miłość przejdzie... To jednak genialna była myśl, że jej strachu napędził, gotowaby naprawdę jakieś szaleństwo zmalować.

Służący dyskretnie wsunął zdziwioną głowę.

Lindner zrozumiał jak to głupio, że tu jest jeszcze.

Szybko podążył ku wyjściu.

Cofnął się jak przed upiorem, we drzwiach stała Hela.

Zmierzył ją piorunującym wzrokiem.

— Tyś tu? potem, czem ci zagroziłem, śmiałaś?

Odważnie wytrzymała jego spojrzenie.

— Musiałam. Ale ty, co tu robisz?

Odwrócił się, zmieszany.

— Hahaha! Musiała! Powiesz natychmiast, dlaczegoś musiała?

Powiem, muszę się rozmówić z panem Zdzisławem.

— Nieważne, to paradne! I ona mnie to przyznaje. Czy ty wiesz, jak się to nazywa?

— Wiem: uczciwością.

— A to bezczelna. Wyszedł ten twój pan Zdzisław.

— Poczekam na niego.

Zostawiła go u drzwi i weszła do pracowni.

Rzucił się za nią.

— Pójdiesz ze mną. Natychmiast.

— Nie, natychmiast nie pójdę — niepoznał tego tak słodkiego, uległego zwykle głosu — ale przyjdę zaraz, jak wróci, mam mu tylko parę słów powiedzieć.

Lindnera dusiła wściekłość.

— Co ty sobie myślisz? Ja mam prawo sprowadzić cię przez policję!

— Zbyteczny trud — uśmiechnęła się smutno — wróćę sama, wszak wiesz, że wróćę.

— No pewno — zaszydził — wrócisz, bo się boisz o niego.

— Tak, wróćę, bo się boję o niego. A czyżbym inaczej wróciła pod ten dach nienawistny, pod którym pogrzebałam wszystkie moje dziewczęce złudy, jedne po drugich, wszystkie sny o szczęściu.

— A djabli wiedzą — wybuchnął brutalnie, jak tam wygląda to twoje zwarzowane szczęście. Gdzieżby też człowiek praktyczny mógł zrozumieć te wasze warjackie wybryki.

Wyraz pogardy zaciemnił piękne jej rysy.

— Praktyczny. Żebyż tylko praktyczny. Aleś ty człowiek marny... Ja tak przez całe życie przywykłam do uległości, że gdybym cię szanować mogła, nie trudnoby mi było postuchać nakazu obowiązku. Umiiałabym sobie powiedzieć: ha, przegrałaś z własnej winy twój los na loterii życia, nie wolno ci się buntować. Ale żyć z człowiekiem niekochanym, a w dodatku...

Przerwał jej gwałtownie.

— To już twoja wina: trzeba było starać się pokochać, ja przecież wziąłem cię z miłości.

— Ty i miłość — roześmiała się gorzko.

— No chyba takiej gołej panny, nikt nie bierze dla interesu.

— Owszem, dla interesu: potrzeba ci było do uzupełnienia twojego filisterskiego salonu kobiety pięknej, rozumnej, którąbys tobie podobnym mógł zaimponować. I próżność, twoją wzięła mię na ornament, tak jak w kawalerskim twoim salonie ustawiła „Pleyl’a chociaż nie masz pojęcia o muzyce. Jak śmiesz mówić o kochaniu ty, coś mi dawał rywalki we własnych moich pokojówkach.

— Patrzcie jak to wzięła na kieł. Dawniej nie umiała trzech zliczyć. Mężczyźnie wszystko wolno.

— O teraz ci już rzeczywiście wszystko wolno. Zmuszasz mnie, żebym wróciła! Wróćę, ale będziesz miał we mnie tylko sprzęt martwy, nie śmiesz nigdy zbliżyć się ze swemi wstrętnemi czułościami.

— Bo to prawda? — zaśmiał się cynicznie — jesteś moją żoną, jak mi przyjdzie fantazja na czułości, musisz!

— Muszę! — w głosie jej brzmiała druzgocąca pogarda. Muszę! a tożbym prędzej trucizny zażyła, niżbym...

— Gadanie, nie zażyjesz. To dopiero. Wziąłem to z biedy, uszczęśliwiłem...

— Uszczęśliwiłeś! Podług ciebie szczęście to, to i to i to! — zrywała z siebie kolejno butony, bransoletki, pierścienie i rzucała mu pod nogi — Masz, bierz to twoje szczęście!

Lindnerowi z wściekłości oczy wyskakiwały a orbit, zbierał jednak skwapliwie z ziemi klejnoty i oglądał uważnie, czy co nieuszkodzone.

— Poczekaj! — cisnął za siebie, wybiegając jak szalony — żandarmami cię sprowadzę!

Po jego wyjściu Hela długo jeszcze stała na środku ogłuszona, a potem runęła bezsilna na fotel.

Żarski po rozmowie z Lindnerem wyszedł rozbity.

Jak ją zobaczyć? Jak znaleźć wytłomaczenie tych paru słów, które go zupełnie wyprowadziły z równowagi.

Ślaniał się po ulicach jak błędny. Żał go wprost głód jej widoku, jej głosu.

Nie wiedząc już co zrobić ze sobą, wsiadł w tramwaj i pojechał na „Wiejską“.

Może mu się uda choć cień jej ujrzeć za firanką...

Okna Lindnerów były zupełnie ciemne. Chodził pod temi martwemi oknami tam i napowrót jak obłądny a w głowie łopotalo bez ustanku: „tam zagadka twego bytu, w tej trumnie, w tej trumnie“.

Nareszcie odważył się wejść do szwajcara. Państwa niema: pan wyszedł, pierwszy, a zaraz po nim pani.

Dopadł dorozki. Kazał pędzić co sił. Wyrwała się z domu, więc może jest u niego.

Wbiegł do pracowni bez tchu.

— Służący mi mówił, że tu jesteś. Pani! Helu! ty! Jesteś nareszcie! Myślałam, że już nie dożyję tej chwili. Ale jakaś ty blada...

Szalonymi rzutami dotykał gorączkowo jej ręk, ramion, odzieży, zupełnie jak — człowiek który po długiej ślepotcie nagle przejrzał i nie wierzy sobie, że to co widzi, jest rzeczywistością. Ręce mu latały, dygotał jak w febrze.

— Jesteś?! — wybuchnął nanowo — Wi-

dzę cię! nie nie wiem, nie nie rozumiem, tylko to jedno, że jesteś!

Zdawało mu się, że zbladła jeszcze bardziej.

— Panie Zdzisławie... Zdzichu! ja przysłałam żeby...—zająknęła się— żeby... żeby... Niepokój zatargał mu sercem.

— Żeby co? żeby co?

— Żeby — głos jej się załamał — żeby... cię pożegnać.

— Żeby... mię... pożegnać? — porwał się za głowę. — Pożegnać? Helu, co to znaczy? Czyżbym się na tobie miał pomylić?

— Nie, ukochany mój, nie pomyliłeś się. Ty jesteś i będziesz zawsze jedyną treścią mojego życia, Tyś duszę moją wziął w siebie i ona z tobą zostanie. Ale... widzisz, ja muszę wrócić natychmiast. Zobowiązałam się. Nie rób takich oczu... nie gniewaj się na mnie... Wszak to chwila rozstania, niech ona mi słodką będzie. — Podniosła ku niemu wzrok błagalny. — Niech ją uniosę z sobą na wieczność... Spójrz na mnie dobrze... Sław mój jedyny...

— Helu moja, co się z tobą dzieje? Skąd to okropne postanowienie? Zobowiązałaś się?... tyś się zobowiązała?

— Nie pytaj, ufaj mi... Żebyś ty mógł widzieć to moje biedne serce, jak się we mnie rwie, krwawi... Ale trudno, nie może być inaczej, muszę wracać i to zaraz.

— Jakto? i nie wytłumaczysz mi, dlaczego mi łamiesz życie? Helu, pomyśl, że to po raz drugi.

— Nie nalegaj! nie mogę! zawołała rozpacznie. Wierz mi, że nie mogę.

Porwał ją za obie ręce.

— Nie odejdziesz stąd, dopóki mi nie wytłumaczysz, skąd ten wyrok śmierci.

— Ależ to jedynie, żeby zapobiec wyrokowi śmierci.

— Oszaleję! oszaleję... wytłumacz się... miej litość, nie zostawiaj mnie z takim cierpieniem w sercu!

Nie miała siły dłużej go dręczyć.

— A więc dobrze, powiem: zagroził mi, że jeśli go zostawię, wyzwie cię i zabije, jak psa: będzie celował w samo serce.

Odetchnął z ulgą.

— Ależ dziecko, jak mogłaś uwierzyć? On drżał na samą myśl pojedynku.

— Kto? gdzie? gdzieś go widział?

— Tu, przed chwilą.

— W głowie mi się maści — ścisnęła

obu rękami pulsujące skronie — więc on cię zastał? mówił z tobą?

Odjął jej ręce od głowy i przytrzymał je ponownie.

— Ty nie wrócisz już do tej marnej, nędznej duszy. Uciekajmy stąd, Helu! Zostawie wszystko. Mam w Paryżu już pewne stanowisko, słosunki.

— Ale jakżeż tak nagle, w tej jednej sukni, bez grosza?

— To nic. Ja mam kilkaset rubli za portret, a za obrazy napiszę z Paryża, żeby mi słano. Nie zginiemy.

Spojrzał na zegar.

— Mamy czas. Pakuję co mam pod ręką. Ale pomyśl, droga, czy ci nie żal komfortu, wygod?

— Niczego mi nie żał z tobą i przy tobie.

Ucałował jej ręce z wdzięcznością.

— Ty słodka! Zobaczysz, jak dobrze nam będzie razem. Jesień się zbliża, dni krótsze, jak nie stanie i światła, do malowania, siądziemy sobie przed kominkiem z książką, z gawędą. Odetchniesz...

Brała w siebie jego słowa, jak lek uzdrawiający. Więc dusza jej nie będzie już wiecznie samotna...

Więc odeszły bezpowrotnie te złe chwile jej życia...

Ot, przeleciał jakiś dobry anioł i na skrzydła swe zabrał wszystką gorycz, wszystkie nędze...

— Tak Zdzichu, potrzeba... Dusilałam się tam w tym mydlarskim komforcie. Z tobą, przy tobie! Ty mi starczysz za wszystko. Ale czy tylko ja nie zacięzę na twoim życiu.

— Krzywdzisz mnie. Przy tobie właśnie zdobędę nie tylko sławę ale i majątek...

(d. c. n.)



Miłość od pierwszego wejrzenia.

(Z niemieckiego.)

— Ależ pan wcale mnie nie zna. Pańskie zamiary mają w sobie coś obrażającego. Spędzasz pan jeden wieczór w towarzystwie, w którym się znajduję, dowiadujesz się kim jestem i nazajutrz przychodzisz prosić o moją rękę. Ojciec mój jest milionerem. Pragnęłabym istotnie, aby rzeczy miały się inaczej, wówczas mógłbym być dumną z siebie i ze składanych mi hołdów.

Dziewczyna opuściła wzrok na ziemię w przeświadczeniu, że wypowiedziała obelgę. A wyrzekła ją tylko dlatego, że rozmowa nie była jej obojętną, jakkolwiek zaskoczyła ją niespodzianie.

— Pani utrzymuje, że jej nie znam. Rzeczywiście, zaledwie że utrwaliłem sobie w pamięci nazwisko pani, a jednakże znam panią niewątpliwie lepiej, aniżeli ktokolwiekby inny, co miał szczęście często ją dotąd spotykać. Wątpi pani, a więc postaram się ją przekonać. Jakkolwiek wykwinne było jej wychowanie, nie wiem czy objaśniono panią o stosunku zewnętrznego ja do jaźni wewnętrznej. Uważać to pani będzie za zarozumiałość z mojej strony, za wstawianie w siebie daru jasnowidzenia, jeżeli obstawać będę przy tem, że z osoby jej wczoraj wieczorem wyczytałem całą treść jej istoty, dociekleń jakie są jej uczucia i jakie myśli, jaką może być jej miłość, radość i cierpienie. W niej widzę urzeczywistnienie tego wszystkiego, czego od lat doszukuję się u kobiety i na co nie wątpliwie po raz drugi w tem życiu doczesnym się nie natknę. Wytłomaczy to pani moje postanowienie nagle i niezłomne, przyznaję bowiem, że już wczoraj wieczór gotów się byłam oświadczyć i wykonałbym zamiar swój niewątpliwie, gdyby nie nieoczekiwane zniknięcie jej z salonu wraz z szanowną mamą.

— A więc jeżeli pan już po upływie trzech godzin tak dalece zgłębił moją istotę, nie wiele osoba moja przedstawi dla pana interesu przez ciąg całego długiego żywota ludzkiego.

— To nie chęć rozkoszy popycha mnie ku pani, Bóg świadkiem, że to zupełnie coś innego. Wieśniak łączy się z kobietą, której praca zastąpi mu brak wiana, lekkoduch pojmuje małżonkę, która jak sądzi, da mu największą sumę zadowolenia, artysta doszukuje się takiej, co by go pojąć mogła, choćby duch jej w istocie pelzał po ziemi. W jednym i drugim wypadku mamy do czynienia z wyrafinowanymi egoistami, a wartość kobiety jest względna i zależna od mężczyzny. Kto zaś towarzyszkę życia stawia na właściwym piedestale, kto rozumie czym jest na tej ziemi, ten wybiera ją jako klejnot nieoceniony i swoją czyni bezwzględnie, w przekonaniu, że jest ona człowiekiem, człowiekiem

skończonym i doskonałym. Nic małostkowego, wszystko w szerokim zakresie, wymagania, uczucia, nawet zdolność odbierania uśmiechów losu! Naówczas i jego dola godna jest zazdrości. Wielu ludzi skarży się, że nie udało się im podchwycić tego, co określamy mianem wielkiego, gwałtownego szczęścia, nie wiedzą zaś o tem, że zbytnio są małuczcy, aby w najlepszym razie mózgi je odczuć należycie. Niejeden mężczyzna przekłada brzydką małżonkę nad piękną, nie przez brak smaku, a jedynie przez to, że piękno samo przez się jest dla niego ohydą. A czybyś pani miała szacunek dla człowieka skromnych wymagań? Znasz siebie. Czybyś potrafiła kochać takiego, coby zadowolili się istotą o mniejszej wartości, jaką sama przedstawiasz?

— Skądże pan wiesz, że posiadam owe wszystkie niezwykle przymioty, o których wspominałeś?

— Wytłomaczę to pani, jeżeli przez chwilę zechcesz mnie słuchać uważnie. Nikt też słów moich lepiej nie pojmie, aniżeli pani. Jeżeli damy na to podczas mgły i deszczu dąży ktoś przed nami odziany w płaszcz sięgający po kolana, tak że nie można zauważyć zarysu jego postaci, to zawsze zostaje nam coś co pozwoli nam określić owego człowieka.

— Chód jego, czy nie tak?

— Naturalnie, ale skąd pani wpadła na tę myśl?

— Nie wydaje mi się to prawdopodobnem, ale wszak nic innego nie pozostaje do wyboru.

— Z czasem w to uwierzysz, chód człowieka nie jest czemś przypadkowym. Zależny jest, bez kwestji, od ustroju ciała, a choć u dam przez właściwą im sztukę ubierania trudno jest dojść do jakiegoś wniosku, gdy znajdują się w postaci stojącej, wystarczy, aby uczyniły kilka kroków, a osądzimy je jak należy. Lecz powróćmy do owej postaci otoczonej mrokiem. Ruchy każdej jednostki mają w sobie pewien rytm, który nie daje się określić słowami, a zaledwie pozwala się odczuć. Z tego rytmu, zaledwie przy pomocy pewnej wprawy z łatwością wyobrazić sobie możemy kształt ciała i zaopinjować, czy mamy do czynienia z typem rokoko, renesansem klasycznym, czy fin de siècle. Zasadniczym jest szczegół czy linja ruchu prowadzona od ucha do pięty jest równomierną, czy też rozłamuje się u bioder. W ostatnim wypadku stanowczo charakter osoby nie jest jednolitym i szczegół ten uderzy cię jaknajniezawodniej po przez najbardziej sfaldowany płaszcz. Gdy tak upewnisz się co do ciała, dociekać zaczniesz jaki wyraz nosi twarz, zwłaszcza usta i nos. Istotnie, bo z chodu kobiety można wywnioskować, czy ma nasek zadarty, czy też zakrzywiony, wargi wązkie lub wydatne. I następnie z łatwością snujesz nic rozumowań, azali osoba ta, gdyby cię znała, mogła cię rozumieć i przywiązać się do ciebie, czy też nie, czy jest w twoim guście, czybyś ją kochał lub nienawidził. Pomimo to wszystko nie potrafisz dociec, czy masz przed sobą księżniczkę czy też żebraczkę, milionerkę

czy kucharkę, ale odróżnisz rodzaj człowieka pod względem zewnętrznym i wewnętrznym i będziesz wiedział, czy masz do czynienia z naturą bogatą lub też upośledzoną, wolną czy ograniczoną, a gdy przyspieszysz kroku, miniesz ową osobę i zajrzysz jej w twarz, to przekonasz się...

— Że omyliłeś się pan!

— Że się omyliłem, a wówczas wiem, że otarłem się o istotę nie rasową, która całe życie zawodziłaby mnie, jak zawiodła mnie teraz, że dobre chęci moje odpłacane byłyby niewdzięcznością — a wówczas zawróciłbym czempredzej, bo od takich natur należy trzymać się zdaleka. Gwiazdy nie kłamią. Gdyby kłamały, niebo nie byłoby niebem, a widmem czarciem. Charakterystyczną bowiem jest cechą, że ludzie rasowi stanowią całość jednolitą pod względem duszy i ciała, tak że już jeden ruch wystarczy, jak to pani czynisz w tej chwili, aby poznać jakie uczucia pieczęją w głębi serca i utrwalić się w przekonaniu, że są owocem myśli skończonej i arcydziełem artystycznym w pełnym znaczeniu tego wyrazu. I zapewniam panią, że byłbym się w pani tak samo zakochał zaobserwowawszy ten jeden ruch ręki, jak teraz, gdy przypatrywałem się jej przez cały długi wieczór. Widziałem panią wczoraj w zetknięciu się najmniej z dwudziestoma różnymi osobami. Na ludziach tych również skupiłem moją uwagę, mogę też pani powiedzieć dokładnie jakie wyrobiłaś sobie o każdym wyobrażenie. Wówczas rozsądzisz, czy przejrzałem twą duszę, o której jak przypuszczasz, nie mam najmniejszego pojęcia. Dla mnie każde z jej słów, które jako okruchy prowadzonych przez nią rozmów dolatywały do moich uszów, utwierdziło mnie w przeświadcze-

niu, że nieomyliłem się we wnioskach budowanych na zasadzie jej królewskiego wzrostu i heroicznego rozmachu ruchów!

— Miłość kładzie bielmo na oczy.

— Tak istotnie, ale nie wszystkimi! Osłepia takiego, co nigdy ponad ograniczone stosunki się nie wyniósł, nie zna świata i ludzi i przypuszcza, że uczynił wolny wybór, gdy uległ zwykłemu instynktowi zwierzęcemu. Gdy zaś zakocha się ktoś takiego jak my pokroju, to wie czemu się to dzieje, możesz być pewną. Nie ulega też kwestji, że czujesz się dumną, iż nie należysz do owych ograniczonych natur kobiecych, które zazdrosne są o przeszłość mężczyzny. Nawet sama nie chciałabyś zaślubić człowieka, który nie byłby zdolny wartości twojej szacować miarą innych kobiet jakie poznał. Kochać, kochałem ciebie tylko jedną, pani moja na długo, długo przedtem zanim cię poznałem — inaczej nie dotrwałbym do lat trzydziestu sześciu w stanie beżżennym. Niewielu twoich wielbicieli mogłoby się tem pochwalić. A teraz pozwól, że ostateczny złożę probierz, jak wysoko cię cenię, a zarazem dowiodę, że przejrzałem cię do głębi. Jesteś odważnym, energicznym dziewczęciem, to mówią oczy twoje. Z chwilą gdy odróżniłaś dobre od złego, nie wahasz się całą swoją osobą złożyć na kartę, tak, życie twoje położyć na szali. Trwożne wyczekiwanie, brak decyzji, zaciąganie pomocy i rad u drugich nie leży w twoim charakterze!

Panna Ella, która przez chwilę obiema dłońmi zakrywała sobie twarz, podniosła się z krzesła i objąwszy ramieniem stojącego obok mężczyznę uściskała go serdecznie.

Stawka życia została wygrana.

NESTLE

Mączka mleczna jest najodpowiedniejszym pokarmem dla niemowląt oraz dla osób dorosłych chorych na żołądek i rekonwalescentów.

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO BOGU“:

W Warszawie	rocznie rb. 6.— półr. rb. 3.— kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.— „ „ 3.50 „ „ 1.75
Za granicą i za oceanem	„ „ 10.— „ „ 5.— „ „ 2.50
Za odnośnienie do domu 15 kop. kwartalnie.	Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 k. Reklamy—40 k. Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa“.

Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Głiszczyńska.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.

Druk L. Biłłackiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.